Nr. 18 (1271). Warszawa, 30 Kwietnia (13 Maja) 1905 r. Rok XXV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

O konsulaty.

Wielka wojna, choć przestrzenią daleka, ma tak doniosłe dla Europy znaczenie, że przy niej zapomina się o małych, o sprawach toczących się bez rozlewu krwi, ale w samej Europie, i z istoty swej będących również wojnami. Nie szukając daleko, do rzędu takich spraw należy między innemi cała zawierucha bałkańska, należy wzburzenie się Kreteńczyków; również wojną cichą, prowadzoną tylko środkami i narzędziami politycznemi, ale stawiającą jeden naród wrogo wobec drugiego, jest przed kilku laty już wszczęta, od dwu tak rozogniona, sprawa konsulatów norwezkich, niezależnych od rządu i wspólnego króla szwedzkiego. Sprawdza się na niej to doświadczenie historyi, że im kto bliższym jest zupełnej niepodległości, z tem większą niecierpliwością do niej zmierza, tem mocniej odczuwa każde nieprzyznanie lub odmawianie prawa lub uroszczenia, jako wyrządzaną sobie krzywdę. Wiek XIX zakończył się właśnie takiem wzmocnieniem nerwu samoistności w całościach narodowych, w małych nawet całostkach, które zaledwie narodowością nazwać można—w zbiorowiskach niemających nic prócz języka, niewyrobionego—i obyczaju, niesięgającego choćby tylko do poziomu kultury. Ktokolwiek, w odrębności swej się odczuwa, krzyczy, szturmuje, o swe prawo, a posiadane od gwałtu osłania.

Tak dziś jest na świecie; takie w nim panują, nie najgorsze chyba, popędy. Tak musi być i w Norwegii, gdzie z wyjątkiem umiejętnego, zręcznie sprawowanego, ujmującego nawet panowania Bernadottego (król XIV Jan) tradycye dziejowe znają tylko jedno: niechęć wzajemną Szwedów do Norwegów. I sama ta niechęć, od chwili, kiedy Europa, karząc Napoleona w osobie króla duńskiego i w jego potomstwie oderwaniem Norwegii od Danii, wynagradzała nią zdrajcę sprawy napoleońskiej i francuskiej, stwierdza inne znowu doświadczenie historyi, że im bliższe sobie szczepowo są grupy narodowe, tem głębsza rozdziela je przepaść, ilekroć polityka jedną z osobistości dziejowych przytłoczy ciężarem i potęgą drugiej. Z Duńczykami Norwegowie już się zrastali, właściwie jeden z nim stanowiąc naród, jedną z nimi mając literaturę; w związku z krajem małym, słabym a ściślej kontynentalnym niż Norwegia, spodziewać się mogli z czasem przeniesienia wspólnego państwa do siebie; poczem już marzenie o unii, która na krótką tylko chwilę dziejową, jakich trzydziestu lat, pod nazwą „kalmarskiej“ potomkom starych wikingów zabłysła, — mogłoby nie być czczą mrzonką, a gdyby się w związku z Danią urzeczywistniło, hegemonia na półwyspie nie Szwedom, ale Norwegom dostać-by się musiała.

Niechętnie, z jawną odrazą przyjęli Norwegowie w roku 1814 traktat, który ich wydawał w moc Szwecyi. W kilka miesięcy po tej sprzedaży ziemi z martwym i żywym inwentarzem, ogłosili swą niepodległość, zjednali sobie księcia z dynastyi duńskiej i zrobili go swym królem. Ale był to jeden tylko błysk. Kongres wiedeński zastał już Norwegów przykrępowanych do Szwecyi. Całem ich szczęściem było to, że im ówczesna Europa kierująca światem politycznym nie wzbroniła zawrzeć umowy ze Szwedami i wcielić do niej konstytucyi dla niedoszłego państwa norwezkiego uchwalonej. Na mocy tego aktu unii wszystkie sprawy zagraniczne Norwegii przeszły do króla szwedzkiego. Akt milczał o konsulatach, ale powszechna praktyka innych krajów i sama łączność przedmiotu rozciągnęły władzę szwedzką i na konsulaty norwezkie, na funkcye obrony i popierania norwezkiego handlu i przemysłu po za granicami państwa. Trwało to aż pod koniec XIX w. Dopiero po r. 1890 odezwało się żądanie własnych odrębnych organów dla ochrony własnej działalności, własnych praw, stosunków i majątków. Było to tem potrzebniejsze i słuszniejsze zarazem, że w całości ekonomicznego rozwoju, sięgającego nazewnątrz, Norwegowie przedstawiają żywioł ruchliwszy, zamożniejszy i zasobniejszy, i do statystyki handlu zwłaszcza przynoszą od siebie liczby o wiele wyższe, niż Szwedzi.

Uchwała storthingu, pierwotnie zapadła, długo czekać musiała na propozycyą rządu, wszczynającą układy ze Szwecyą. W Sztokholmie opór ministrów i rady stanu szwedzkiej, przy niedostatecznym poparciu ze strony stałego wydziału norwedzkiego, a niechęci sejmu miejscowego sprowadził długą, niezmiernie zwłokę w załatwieniu sprawy. Rozjątrzyła ona i jątrzyła coraz bardziej, coraz niebezpieczniej storthing w Chrystyanii, aż wreszcie umysły zajęły się płomieniem, i drobna stosunkowo sprawa opieki nad handlem zagranicznym wyolbrzymiała w zasadniczą pod hasłem zerwania unii w razie oporu Szwecyi. Hasło takie wydać mogła tylko nieopatrzna, nierozważna namiętność. Zerwanie w dzisiejszych warunkach, przy dzisiejszym układzie potęg w Europie, byłoby dla Skandynawii nieszczęściem, a odczuliby je Norwegowie tem

prędzej i dotkliwiej, im płonniejszym dziś niż w XVIII lub na początku XIX w. byłby zamiar połączenia się z Danią, raczej przyłączenia jej do siebie. Słusznie zatem przestrzegł przed dwoma miesiącami Norwegów następca tronu, sprawujący regencyę i głębiej sięgającem słowem usiłował ich pobudzić do rozumnego namysłu. W kuryi wyższej, starszej przestroga miała choć słaby skutek, ale w łagthingu nic się podobno nie zmieniło. Stanowczość żądania wciąż jeszcze wojuje groźbą zerwania unii. W marcu padło poprzednie ministeryum; obecnemu, Michelsena, nie wróżą długiego życia. Niechęć ku Szwedom nabiera znamion nienawiści. I to wszystko o konsulaty, i to wszystko wskutek niedorzecznego uporu Szwecyi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Najważniejszym wypadkiem jako przyczyna najważniejszych logicznych skutków w ubiegłym tygodniu okazała się nowa zwłoka adm. Rożestwienskiego w pożegnaniu wód Annamu, należących do Francyi. W żadną już teraz datę odpłynienia wierzyć nie można; równie błędną jak poprzednie była data 24 kwietnia: admirał wprawdzie opuścił bądź tego dnia, bądź w dwu następnych wspaniałą zatokę kamrańską, ale już d. 30 t. m. stał w innej, której nazwę podano jako Han-Koi. W braku mapy o większej skali nie podobna ustalić tożsamości utworu brzeżnego tej nazwy; wiadomo tylko, że nie leży on na terytoryum chińskiem, leżeć więc musi na Kochin chińskiem francuzkiem, a nowe te odwiedziny, składane zaprzyjaźnionemu narodowi równie jak poprzednie znajdują się w odwrotnym stosunku do obowiązków neutralności, ciążących na Francyi. Cokolwiek zaszło między p. Delcasem a p. Lamsdorfem, jawnem jest już dla świata całego, że Francya albo nie może, albo nie chce bronić swej bezstronności w wojnie, i przez to samo już logika ma prawo uznać ją za stronę wojującą. Niemożność czy niechęć płyną z jednego źródła: z przyjaźni dla Rosyi. Przyjaciółka śpieszy przyjaciółce z pomocą: rozrzewniająca gotowość do poświęceń, ale i ciężkie wykroczenie międzynarodowe. Wątpliwość: czy Francya działa z własnego popędu, czy też pod naciskiem, obchodzi tylko psychologów; obojętną jest i nie istnieje zgoła dla polityki: traci dobrodziejstwo neutralności ten, kto nieprzyjacielowi pomaga.

Słusznie zatem Japonia widzi w pobłażliwości lub pochopności francuskiej gwałt zadany odwiecznemu prawu zwyczajowemu; słusznie p. Motono, poseł w Paryżu, nachodzi p. Delcassego swą osobą, zarzuca swemi protestacyami; słusznie w Stanach Zjednoczonych i w Anglii zaczyna już wiać prąd nieprzychylny Francyi z powodu jej zachowania się tak jawnie wyzywającego Japonię, tak dla niej szkodzącego. Zaprzeczenia p. Delcassego ocalają tylko formę stosunku z państwem Wschodzącego słońca; treść rzeczywista daje tylko jedno: naprężenie wojenne. Gdyby Japonia miała siłę wystarczającą, zakreśliłaby już Francyi termin bezwzględny tej serdeczności dzisiejszej, a po jego bezskutecznym upływie, przemówiłaby rykiem dział. W braku siły poczucie krzywdy i szkody wytężać się musi ku Anglii dla przekonania jej o zaszłym już *casus foederis*. Ale Anglię niełatwo będzie przekonać, bo dziś jeżeli daje się pomoc, którą się przyrzekło, to tylko dla jasno określonych, materyalnych korzyści własnych, a jeśli się rzuca w odmęt wielkiej wojny, to tylko w krańcowej niemożności dochowania pokoju. Zagadnienie korzyści, kształtujące się dla Anglii, jednocześnie wyzwałoby inne wielkie mocarstwa na Daleki Wschód po te *spolia opima*, któreby do podziału między wszystkich iść powinny: dla Japonii przedsiębierstwo takie byłoby niebezpieczniejszem od przysług świadczonych przez Francyę admirałowi Rożestwienskiemu.

Admirał, który dowieść ma swego rozumu wojennego, a dotychczas już dał dowód zuchwałego uporu i wielkiej surowości w sprawowaniu władzy, według telegramów miał połączyć się z eskadrą kontr-admirała Niebogatowa w d. 9 lub 10 b. m. Oddział śpieszący mu z pomocą jakoby 7-go lub nawet już 6-go b. m. przepłynął cieśninę Malakka i dał się się widzieć z Singapore'u.

Na lądzie Japończycy zaczynają się ruszać naprzód; pochód ich jeszcze skromny, ale już jest. Siły armii rosyjskiej, ogromnie wzmocnione przez ubiegłe od Mugdenu dwa miesiące, przenoszą już 300,000, gdy na początku pochodu, w najlepszym wypadku, nie było ich więcej nad 130 — 150 tysięcy, i to jeszcze w stanie rozbicia. — Ka Korei Rosyanie usadowili się nad pogranicznym Tumeniem, od strony Władywostoku, zbudowali most i zbierają siły. Z przeciwnej strony ma podążać tam Hasegawa ze znaczną już armią dla oczyszczenia strategicznego obwodu twierdzy, a następnie osaczenia jej w razie współczesnego natarcia floty od morza.

W Europie wszystkich zajmuje sprawa neutralności pogwałconej przez Francyę. *Times* ostrzega Delcassego i Rouviera, aby nie przeciągali struny, bo może być źle ze zbliżeniem się, które tak dobrą obu narodom wróżyło już przyszłość w ich wzajemnych stosunkach.

P. Delcasse, odzyskawszy zaufanie swych kolegów, nadużywa go dalej, tak jak nadużywał przed przełomem. Co do Annamu, ceremonię kłamstwa odprawia przykładnie, co do Marokka czeka na to, co zrobią Niemcy, opierając się proponowanym przez nie konferencyom. Niemcy dotychczas jeszcze nie nacierają na sułtana, ale trwają w lekceważeniu ugody francusko-angielskiej.

Na Krecie stan bez zmiany. Nie widać, aby Anglia myślała o działaniu na własną rękę. Przydałaby się jej wyspa, ale teraz brać jej niepodobna; zarówno ruch narodowy jak współdziałanie Europy uniemożliwiają podobne zamysły, a Gladstonowski idealizm oswobodzenia Greków kreteńskich dalekim jest od dzisiejszych ministrów.

W Przedlitawii niesłychanie oburzył Niemców, zwłaszcza czeskich, wyrok sądu najwyższego, uznający język czeski za krajowy (*Landessprache*) uprawniony i wobec władz funkcyonujących po niemiecku.—W Peszcie d. 3 b. m. zebrał się sejm i rozpoczął narady nad adresem zaprojektowanym łagodnie. Tisza nareszcie ustępuje.

W Poznaniu powstał związek dla obrony interesów narodowych pod nazwą „Straż". Z nieba niemieckiego padają gromy.

---

1)

OSKAR WILDE.

Ballada więzienia
W READING.

I

Nie miał już czerwonego munduru, albowiem krew i wino są czerwone, a krew i wino były na jego rękach, gdy go znaleziono z umarłą—biedną kobietą umarłą, którą kochał i którą w jej łóżku zamordował.

Chodził w pośród obwinionych w szarem odzieniu wytartem, w krykietowej czapeczce na głowie, krokiem, który się wydawał swobodnym i lekkim; nigdy jednak nie widziałem człowieka, coby tak tęsknie dzień oglądał.

Nigdy nie widziałem człowieka, którego oko podnosiłoby się z takiem utęsknieniem ku temu maleńkiemu, błękitnemu rozpięciu, które więźniowie nazywają niebem, ku każdej chmurce, przepływającej z wysrebrzonymi żaglami.

Chodziłem z innymi nieszczęśliwymi, w innem zagrodzeniu i rozmyślałem nad tem, czy ten człowiek popełnił coś wielkiego, czy mniej znaczącego, gdy głos jakiś szepnął za mojemi plecami: *on ma być powieszony.*

O Chryste! mury więzienia nagle w oczach mi się zatrzęsły, a niebo nad mą głową wydało mi się, jako rozpalony kołpak stalowy, i chociaż byłem także nieszczęśliwym, mego udręczenia nie czułem wcale.

Pojmowałem tylko, jaka myśl nieustająca przyspieszała jego kroki, i dlaczego okiem tak smutnem patrzył na wspaniałą światłość dnia: ten człowiek zabił to, co kochał, a więc musiał umrzeć.

* * *

A jednak każdy zabija to, co kocha i bodaj każdy wie o tem. Jeden spojrzeniem nienawiści, drugi — układnem słowem, tchórz—pocałunkiem, człowiek odważny—mieczem!

Niektórzy zabijają swą miłość wówczas, kiedy są młodzi, inni czynią to już w starości. Jedni duszą ją rękami chuci, drudzy rękami złota; najlepsi używają do tego noża, ponieważ umarli prędko stygną.

Jedni kochają zamało, drudzy zadługo; ci sprzedają miłość, a tamci ją kupują; inni dopuszczają się swego czynu, lejąc łzy wielorakie, a jeszcze inni bez jednego westchnienia żalu. Bo każdy człowiek zabija to, co kocha, ale nie każdy musi za to umierać.

* * *

Nie umiera śmiercią hańbiącą w dniu strasznego zbezczeszczenia, nie czuje pętli na swej szyi, ani chustki na twarzy, nogi jego po przez deski nie spadają w próżnię.

Nie przebywa z ludźmi milczącymi, którzy pilnują go we dnie i w nocy: wówczas, kiedy chce zapłakać i wtedy, kiedy chciałby się pomodlić. Którzy pilnują go, aby więzieniu nie wydarł jego ofiary.

Nie budzi się o brzasku dnia, ażeby ujrzeć straszne postaci, zapełniające jego celę: drżącego kapelana, przyodzianego biało, szeryfa surowo posępnego i naczelnika więzienia w czerni urzędowej z żółtą twarzą Sądu Ostatecznego.

Nie zrywa się z bolesnym pośpiechem i nie wdziewa szat więziennych, podczas gdy gburowaty doktór szpieguje każdy ruch jego, każde drgnięcie muskułów i wykrzywienie nerwowe, kręcąc zegarkiem, którego słabe tik-tak rozlegają się, niby uderzenia strasznego młota.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Ukaz tolerancyjny.

Świeżo ogłoszony Ukaz o „wzmocnieniu zasad tolerancyi religijnej” stanął na równym poziomie i z równem znaczeniem obok uwłaszczenia włościan i innych aktów reformatorskich cesarza Aleksandra II. Wprawdzie zmniejsza jego wagę w dziejach ogólnej kultury ta okoliczność, iż on pojawił się wtedy, kiedy już bezgraniczna swoboda religijna jest oddawna powszechnem prawem na całym obszarze świata cywilizowanego, dla Rosyi jednakże jest on faktem epokowym. Doraźna statystyka oblicza na 30 milionów ilość ludzi, którzy po tym ukazie swobodniej odetchną, zrzucą rozbite przezeń kajdany przymusu religijnego, wyjdą z więzień na wolność, powrócą z wygnania do siedzib rodzinnych, zdejmą maskę obłudy i przestaną uważać wyznania, do którego ich włączono, za przekleństwo losu. Żadna wszakże statystyka, żadna domyślność, żadna hypoteza nie zdoła nawet w przybliżeniu oznaczyć sumy tych, którzy pod grubą, w ciągu wieków nagromadzoną powłoką nietolerancyi utaili swój ból i swój protest. Jak dalece oba one wulkaniczną lawą przebiły się przez tę powłokę świadczą głosy dostojników kościoła prawosławnego, którzy energicznie domagali się dla niego swobody sumienia i odjęcia mu srogiej i nieubłaganej opieki świeckiej. Uważali oni, że ta opieka go zniesławia, że mu odejmuje charakter instytucyi ewangelicznej, opartej wyłącznie na dobrowolnie wyznawanej wierze, że on musi zdjąć z siebie zbroję i odrzucić miecz.

Dla Polaków ostatni ukaz ma również wielkie znaczenie. Przedewszystkiem kończy martyrologię unitów. *Ruś*, ten liberalny wiatrak, dostarczający razowej mąki z piaskiem i trocinami na chleb naszemu głodowi politycznemu, już się troszczy o ubezpieczenie nieszczęśliwców od uwodzeń katolicyzmu. Zbyteczna obawa. Jeżeli unici potrafili ocalić swą wiarę, to tembardziej ją ochronią przeciwko namowom. Teraz nie pora jeszcze ciągnąć ich w jedną lub drugą stronę, ale pora pomódz im do dźwignięcia się z niedoli i do opatrzenia wszystkich niezagojonych dotąd ran, które odnieśli w trzydziestoletniej walce. Trzeba bowiem uprzytomnić sobie całą masę moralnych cierpień i całe powikłanie stosunków. Ponieważ unici „oporni” nie chcieli ani chrzcić się, ani zawierać związków małżeńskich w cerkwiach prawosławnych, wszelkie zaś tego rodzaju obrządki, dokonane po za obrębem tych cerkwi, nie były prawnie uznane, więc zapanował zupełny chaos w stosunkach rodzinnych i majątkowych. Tam dzieci rodziców połączonych ślubami zagranicznymi nie są prawe, nie noszą nazwisk ojców, nie dziedziczą po nich, zmuszone ustępować ich majątki dalszym krewnym. Ażeby temu zapobiedz, wymyślono najrozmaitsze postacie symulacyi i formalnych kłamstw. Rozplatać te niezliczone węzły, doprowadzić do jakiegoś prawnego porządku ten bezład, dać udręczonym przezeń ludziom warunki spokojnego i bezpiecznego życia— oto jest uczciwe żądanie szczerej troski o ich dobro. Oni dziś wierzą, czują, powtarzają sobie cicho, w oszołomieniu radosnem krzyczą głośno pierwszy artykuł ukazu: „Odpadnięcie od religii prawosławnej do innej religii chrześciańskiej lub nauki nie podlega prześladowaniu i nie pociąga za sobą żadnych następstw szkodzących pod względem praw osobistych i cywilnych”.

WYWIAD.

W szeregu wywiadów politycznych, podjętych przez p. Ldowa u przedstawicieli społeczeństwa polskiego w Warszawie, *Birż. Wied.* zamteszczają następującą opinię A. Świętochowskiego.

„Zdaje mi się, że obecny przełom w Rosyi jest zanikiem wiary w zewnętrzny rozkaz a wzrostem wiary w wewnętrzną konieczność. Jeżeli tak jest, to dla inteligencyi społeczeństwa rosyjskiego prędko stanie się zrozumiałą polityczna — że tak powiem—mowa Polaków, które ma u nas kilka narzeczy w rozmaitych stronnictwach, ale co do swej istoty pozostaje jedna. Bo jest to mowa dziewięciu milionów narodu, który na tę swoją część oddziaływa 20 milionową masą i 10 wiekową kulturą. Ta właśnie największa i najżywotniejsza jego część, najbardziej ulegająca działaniu sił rozwojowych, wytworzonych w przeszłości, skazana została na życie w warunkach, w jakich już dziś nie znajduje się ani jedna, nawet najniższa cywilizacyjnie społeczność europejska. Jest to coś podobnego, jak gdyby bryle geometrycznej kazano istnieć pod postacią linii. Dzięki tej nienaturalności położenia i olbrzymiej różnicy między *koniecznemi* potrzebami naszego narodu, które on niósł w swem łonie, a *dowolnymi* rozkazami, którymi go skrępowano z zewnątrz, w stosunku polskich helotów do rosyjskich spartan nagromadził się tak gruby osad obustronnego kłamstwa, że dziś wszelka prawda wydaje się zdumiewającą niespodzianką a wszelkie słuszne żądanie karygodnym buntem..

Z minimalną przesadą rzec można, że wszystko, co przez ostatnie stulecie, a zwłaszcza przez ostatnie czterdziestolecie Polacy powiedzieli publicznie do przedstawicieli rządu rosyjskiego i naodwrót, było nieprawdą, że wszystkie lojalno-miłościwe monologi i dyalogi splecione były z fałszu i obłudy. Gdyby więc dziś Polacy przemówili szczerze i gdyby nawet wyrazili życzenia zamknięte w granicach najelementarniejszych potrzeb narodu kulturalnego, poczytanoby im to za zuchwalstwo. Wyobraźmy sobie, że Jowisz nietylko przykuł Prometeusza do skały i polecił sępom wyszarpywać mu wątrobę, ale nadto zabronił mu głośno skarżyć się i używać własnego języka, wreszcie pozwolił wszystkim jędzom pastwić się nad nim, znieważać go, ogłupiać, spotwarzać i deptać. Coby odpowiedział ów Prometeusz, zapytany w imie-

---

Nie zna o mdłości przyprawiającego pragnienia, które piaskiem wysypuje gardło, zanim kat w grubych rękawiczkach, wśliznąwszy się przez drzwi miękko wysłane, nie spęta trzema rzemieniami i gardłu na zawsze nie odbierze pragnienia.

Nie słucha z pochyloną głową głośno odczytywanych modlitw za umarłych; z duszą miotaną strachem, który mu mówi, że żyje, nie mija własnej trumny, wchodząc do okropnej szopy.

I przez maleńki dach szklany nie spogląda na świat po raz ostatni, zbielałemi wargami nie błaga o koniec swych męczarni i na drgającej twarzy nie czuje pocałunku Kaifasza.

II

Przez sześć tygodni nasz gwardzista wychodził na przechadzkę w podwórze: w odzieży wytartej i szarej, w krykietowej czapeczce na głowie, krokiem, który wydawał się swobodnym i lekkim; nigdy jednak nie widziałem człowieka, coby tak tęsknie dzień oglądał.

Nigdy nie widziałem człowieka, którego oko z takiem utęsknieniem podnosiłoby się ku temu maleńkiemu rozpięciu błękitnemu, które więźniowie nazywają niebem, ku każdej błędnej chmurce, toczącej swe splątane runo.

Nie łamał on rąk, jak ci bezrozumni ludzie, którzy w jaskini czarnej rozpaczy ośmielają się żywić zmienną nadzieję; on tylko patrzał w słońce i wchłaniał powietrze poranku.

Nie łamał rąk i nie płakał, nie smucił się i nie jęczał, lecz pił powietrze, niby jakiś napój zdrowie dający, pił słońce, niby wino!

A ja i wszyscy nieszczęśnicy, którzy krążyliśmy w innym ogrodzeniu, w bolesnem zdumieniu spoglądaliśmy na tego człowieka, który miał być powieszony, zapominając o własnych przestępstwach tak małych, jak dużych.

I dziwno nam było widzieć go, idącego krokiem swobodnym i lekkim, dziwno że tak tęskno patrzał na światło dzienne, dziwną myśl, że taki dług miał spłacić.

Bo przyjemnym jest widok dębu i wiązu, które z wiosną pokrywają się liściem; ale wstrętnem dla oka jest drzewo szubienicy o korzeniach podgryzionych przez żmije; zielone czy uschłe, człowiek musi umrzeć, zanim ono owoc swój wyda.

Wszystkie wysiłki świata zmierzają ku osiągnieniu najwyższego na ziemi miejsca; któżby jednak pragnął znaleźć się na szafocie z konopną przewiązką na szyi, przez opaskę mordercy spojrzeć ostatni raz w niebo?

Rozkosznie iść w tan przy dźwiękach skrzypiec, kiedy miłość i życie nam się uśmiecha, tańczyć po flecie, tańczyć po lutni jest rzeczą niepowszednią i misterną, lecz zwinnemi nogami przebierać po powietrzu nie jest przyjemnością.

Więc ciekawemi oczami, wśród zawrotnych przypuszczeń śledziliśmy za nim dzień za dniem, zadając sobie pytanie, czy każdy z nas skończy tak samo? bo nikt nie wie, do jakiego czerwonego piekła dusza jego zabłąkać się może.

(c. d. n.)

przekł. z angielskiego.

niu Jowisza, czego sobie życzy? Wszystkiego, czego potrzebuje, jeżeli nie tytan, to przynajmniej człowiek. Tak zwane „ustępstwa“, o których słyszymy, w projektach lub czynach dokonanych, a które wystawiane są na pokaz w ramach jaskrawej reklamy, przypominają mi obraz nagiego, głodnego i chorego nędzarza, któremu dano wspaniałomyślnie krawat i plasterek angielski. To są także przedmioty pożyteczne, ale one nie karmią, nie odziewają i nie leczą.

Jeżeli dawniej maszyna biurokratyczna przed rozszrubowaniem się wytwarzała produkty nietrwałe, to jednakże jej kierownicy wierzyli w ich trwałość. Dziś owa wiara zmniejszyła się a nietrwałość wzrosła. Nieraz zdaje się, że jakieś przedsięwzięcie obliczone jest na dobę i nieraz rzeczywiście po 24 godzinach niknie bez śladu. Co w takiem zmiennem położeniu ma czynić naród, któremu brak wszystkiego? Upominać się o drobiazgi, które mogą mu sprawić jakąś maleńką ulgę lub dać maleńką korzyść? Niewątpliwie i one mają dla niego jakąś wagę, ale naprzód nigdy mu nie zastąpią zasadniczej przemiany warunków życia, a powtóre nie należy ich przeceniać. Gdyby naród rozwinięty duchowo i społecznie chciał wtłoczyć się w ciasne formy pierwobytu, musiałby się szybko udusić. Polacy też mają dwa piętra życia: jedno nadziemne, a drugie podziemne, w którem leczą się z ran tam otrzymanych i ratują od śmierci. Właściwie tedy my uczymy się, myślimy i czujemy po polsku, uprawiamy wszystkie pierwiastki naszej swojskiej kultury, posuwamy ciągle nasz rozwój, tylko że cała ta praca odbywa się w rodzinach, w kółkach i zebraniach prywatnych, słowem, w tych ukrytych kręgach życia, które gdzieindziej przeznaczone są wyłącznie dla działań osobistych i prywatnych, a u nas zostały zużytkowane dla społecznych i publicznych. Wobec tej pracy drobne „ulgi“ i „ustępstwa“ nie mają tego znaczenia, które im często bywa nadawane przez reklamę.

Kwestya polska w państwie rosyjskiem redukuje się do kwestyi wydobycia na wierzch i zapewnienia swobodnego rozwoju temu, co istnieje i działa w ukryciu. Kto i kiedy tego dokona? W sprawach politycznych ogromnie mało ufam sile próśb pokory i dowodzeń teoryi, a ogromnie dużo sile dowodzeń praktyki. Wszystkie ody błagalne zaczynające się od słów: „*имѣю честь покорнѣйше просить*“, wszystkie argumentacye logiczne nie rozwiążą ani jednego zagadnienia zasadniczego. Rozwiąże je natomiast życie zapomocą swych niezłomnych konieczności. I sprawa polska w państwie rosyjskiem będzie zasadniczo rozstrzygnięta wtedy dopiero, kiedy jego kierownicy jasno dostrzegą i należycie ocenią w niej te konieczności, które wytwarza mocniejsza od wszystkich potęg natura i których nie pokona żadna sztuka rządzenia.

Pomimo całego wieku natężonych starań naród polski w monarchii rosyjskiej pozostał polskim i odrębnym. Królestwo Polskie przezwano „zachodnim kresem“, „okrainą“ i t. d., zamieszkałą w niem ludność polską postawiono w prawach politycznych na jednym poziomie z nieucywilizowanemi plemionami i oprócz zatraty wielkiego zasobu jego sił na obronę, którą zużytkowałby na pracę kulturalną, nie osiągnięto nic więcej.

Opóźniono tylko rozwój narodowo-kulturalny, nie powstrzymawszy go ani na chwilę i nie zmieniwszy jego kierunku ani na włos. Podniesiono przytem temperaturę patryotyzmu do niebywałego przedtem stopnia. Oto rzeczywisty a całkiem naturalny wynik starcia sztucznej doktryny politycznej z niezłomnemi koniecznościami życia. Wątpliwym jest dla mnie tylko czas, kiedy to nastąpi, ale niewątpliwym sam fakt przyznania kiedyś ze strony Rosyi tego wyniku za właściwą wskazówkę dla jej polityki w Polsce. Wtedy polityka dla Królestwa Polskiego, pozwalająca mu rozwijać życie narodowo - kulturalne w całej pełni, stanie się pewnikiem, którego nie potrzeba będzie dowodzić i formą stosunku, z której obie strony będą mogły wydobyć najwięcej możliwych w takiem połączeniu korzyści. Na całym obszarze zagadek politycznych świata nie znam przypuszczenia, które wydałoby mi się prawdopodobniejszem nad to, że Polacy nie zginą. Myśl zagłady ich jakimkolwiek sposobem jest oczywistym nonsensem. Takiego wypadku nie widziała dotąd historya i nie dopuszcza zdrowy rozum. Wielkie narody umierają same, ale nie bywają nigdy zabijane. W procesie polsko-rosyjskim chodzić może tylko o większą lub mniejszą ilość wyrządzonych krzywd i strat, oraz o dłuższy lub krótszy czas dla przekonania się o ich bezskuteczności.

Nastrój wiosenny.

Pięknym jest dzisiaj życie. Dziwna przemiana odbyła się przed naszemi oczyma. Przez długi czas ciemno było i głucho. Senność pokryła umysły i serca. Wiele zapomniano, niczego się nie nauczono. I tak płynęło życie bez powabu, bez uroku żywszego. Zaduch katakumbowy był atmosferą ogólną. Po okresie beznadziejnej rozpaczy nadeszła doba tak zwanego „otrzeźwienia.“ Potem poczęły się lekkie poruszenia, lecz były one bez wpływu na życie na powierzchni.

Głównym motorem była siła żywotna i tęskne pragnienie czynu. Przyszłość wydawała się niezmiernie oddaloną, każdy etap ku niej krył się w mgle widnokręgu. Rozmach jednak nie ustawał, i powierzchnia zlekka drgać poczęła.

Apatyę senną płoszył rozkwit pojedyńczych odłamów istnienia. Poezya, malarstwo, rzeźba były pomnikiem żywotności ducha, a w dali od nich cichy szmer rosnącego prądu w życiu bezpośredniem. Te pojedyńcze kwiaty, wyrosłe na bagnie zastoju i martwoty, świadczyły, że apatya, zmałostkowanie ogółu nie zatamowały życia, że wypowiedziało się ono w twórczości jednostek lub grupy. A ogół spał, układając się coraz wygodniej do snu. Rzadko które zbiorowisko ludzi było tak płytkie, obojętne na wszelką głębię, jak Warszawa jeszcze przed laty 10-u. Opinię wytwarzała sfera zamożnego mieszczaństwa, spoczywającego na laurach zdobytego dobrobytu. Żadna myśl społeczna tu nie jaśniała, wszelkie echo o podmuchach nowego życia przejmowało grozą. Nawet beniaminek ogółu, sztuka była martwą i bezduszną. Wspomnijmy specyalną poezyę warszawską. Do dziś dnia jeszcze istnieją przeżytki tamtych czasów. Maniera, czułostkowa poza, płytkość, graniecząca z bezmyślnością, oto są cechy tego zawodowego wierszoróbstwa. A malarstwo warszawskie—o niem chyba mówić nie potrzeba. Trudno więc było żyć w Warszawie tym, którzy czuli pragnienie nowego, tęsknili za wiosną, za słońcem, wrażliwie odczuwali czarną noc i bezduszną pokorę.

Życie było ciężkiem. Pomijam warunki materyalne. Te były i zapewne będą jeszcze przez czas dłuższy uciążliwe dla licznych szeregów, niezaopatrzonych chojnie przez los przyjazny. Lecz atmosfera duchowa, ta łączność niewidzialna wszechistnienia, powietrze, którem się oddychało—było tak przykre, że trzeba było wielkiej siły wewnętrznej, wielkiej zaciętości, aby nie ulec rozkładowi i nie stać się jako inni,—sennym, płytkim i trwożliwym. Tylko czasem zasłyszany szmer ukrytego dla całości życia, poił nadzieją i dawał wiarę w siebie i przyszłość...

Dziś wiosna. Zmarzłe, wątłe rośliny podnoszą się od ziemi, poczynają nieśmiało spoglądać w niebo i pić rosę ożywczą, otrząsając z siebie pył kurzu. Ziemia sama budzi się — i opary wznoszą się, napełniając powietrze nieznaną wonią i rozkoszną, przeczystą młodością. Świeżość idzie przez pola, łąki, lasy, góry, zagląda do miast, zagląda do ciemnych suteren, przekrada się do mrocznych fabryk i posępnych warsztatów—wszędy roztacza swój urok wiosna, pojąca serca odrodzeniem, wiarą, poczuciem swej żywotności.

Pozornie zmian żadnych niema. Jak dawniej ludzie przeważnie sennie spoglądają na świat, jak dawniej powtarzają sobie przeróżne baśni, baczni na szczegóły, obojętni na istotną treść. Jak dawniej inteligencya trwożną jest i niezdolną do stanięcia na wysokości położenia. Jak dawniej przeważa wiara w pokłony i czołobitność. Lecz inni nadeszli... Od każdego prawie człowieka można dziś usłyszeć coś, co dowodzi, że i w tym zahukanym statyście tleje jakaś iskierka, mała, nikła, często przyjmująca formy śmieszne, a jednak istnienie jej jest dowodem, że treść wewnętrzna silniejsza ponad wszelkie przymusy. Wiosna otacza swym urokiem wszystkich; przeciętny przechodzień życia, niezdolny do zrozumienia jego czaru, bezwiednie oddaje się temu wrażeniu. Napróżno kraczą ostrzegające głosy, napróżno gorliwi uspakajają—(to znaczy naganiają do snu)—biedak, który nigdy głębiej nie westchnął, który nie znał, co wiosna; pije chciwie nieznaną sobie rozkosz, łaknąco zwracając się w tę stronę, skąd dochodzi odgłos nieznanej mu świeżości.

Piękna jest wiosna. Wszystko co nie zamarło podczas mroźnej zimy, czego nie zgnębił ciężar ołowianego nieba, wszystko powraca do życia. Tajona energia wzrasta i rwie się ku uzewnętrznieniu. Ustaje wszelka monotonia bezruchu. Poczyna się kiełkowanie, poczyna się szybki pęd w górę. Wiosna odradza. Co było ukryte, co było tajone, to nagle rozrywa powierzchnie i wybucha przepięknym kwiatem, a tysiące wybladłych twarzy, tysiące płonących oczu spogląda ku niemu z skupieniem i tkliwością, i słychać głosy, tony.

Piękne są burze wiosenne. Niebo pokrywają czarne chmury, słychać łoskot grzmotu. Pioruny poczynają ryczeć. Błyskawice przebiegać widnokrąg. W tem wrzeniu, tym łoskocie i huku jest jakaś siła wielka. Po burzy—smutne, ciężkie nieraz spustoszenia niweczą upojenie jej wielkością. Lecz ofiary—to święte relikwie dla tych, którzy wierzą, że burza każda zbliża wiosnę, że burza, to zmierzenie się sił. Smutek—zgroza na widok tylu podeptanych, ku wiośnie z utęsknieniem zwracających się kielichów kwiatów, wzmaga zaciętość i wytrwałe dążenie do odrodzenia.

Pięknem jest życie. Co zbiorowa dusza w sobie najgłębszego i najcudowniejszego zawiera, to dziś przejawia się, kwitnie, odrzucając pleśń i zeschłe liście. Uczuciowe napięcie stanowi o istotnej treści wiosennego powiewu. Stygmaty bólu zakrwawiły czoła chmurne i zatroskane. Oczy odzyskiwać poczęły zdolność dojrzenia tego, co dotąd kryły przed niemi mrok i gęsta mgła. Dziś życie wabi ku sobie tajemnicą swej złożoności, tajemnicą swego podziemnego wrzenia. Nadzieje odżyły, nie jako upajanie się szumnemi słowy, lecz jako znająca swe siły potęga, budująca na trwałej opoce gmach nowy. Wiosna dopiero się budzi, dopiero rozpoczyna się okres zrzucenia zimowej osłony. Podnoszące się ku górze rośliny są jeszcze chwiejne i wątłe. Bo najuciążliwszą jest pierwsza chwila. Po niej nastąpić musi krzepnięcie i wzmocnienie. Dlatego czas

aby ci, dla którysh życie czaru nie utraciło, którzy wrażliwi są na odgłos wiosny, aby ci wszyscy, którzy nie zastygli w formułkach i śmiało tęskniący spoglądają w przyszłość, aby ci wszyscy poczuli w sobie wiosnę i pojęli, czem ona jest dla nich. Czas aby wszyscy, którzy łakną świeżej, nowej treści, zarówno dla swego życia jak i wszechżycia, poczęli się łączyć. Sztandar jest podniesiony. Trzeba tylko formować szeregi i nie rozdrabniając swych sił pójść za hasłem znanem i obejmującem najszersze horyzonty.

Życie dziś nabiera czaru. Choć niebo pochmurne i często słychać odgłos grzmotu, choć silne wstrząśnienie od czasu do czasu niepokoi ziemię, choć nieraz moment grozy tamuje oddech w piersiach — życie nabiera nieznanego uroku. Zdarzenia biegną z niesłychaną szybkością. To, o czem niedawno śnić tylko można było w marzeniach, co tylko promieniało w dalekiej przyszłości, dziś przeszło w okres stawania się, jako fakt, jako rzeczywistość. Długotrwałe oczekiwanie kona, rozpoczyna się realizowanie, uzewnętrznienie nagromadzonych sił, skupionych skarbów, tęsknoty i napięcia.

Tęsknota była wielka; przez mrok, zabijający wszelką radość i wszelką iskrę żywotną, ci, którzy zamrzeć nie chcieli, i ci, którzy budzili się do życia, wyciągali dłonie ku przyszłości, wołając: nadejdź o słońce! Silne, stalowe ręce uchwyciły młot i poczęły kuć stal i szykować dzwon, który miał dać hasło i powołać żywych do życia. Raz po raz rozlegały się dźwięki spiżowe, wzywające do łączenia się z tymi, którzy chcieli rozpocząć żniwo i zbieranie plonu. Niebo zapłonęło czerwonymi blaskami wschodu... *br.*

Pod berłem pruskiem.

Umizgi klerykałów. — Stanowisko narodowców polskich względem projektów „Gazety Katolickiej". — Rozłam w obozie narodowych demokratów. — Zjazd robotniczy.

W jednym z poprzednich listów wspominałem już o stanowisku księdza d-ra Stephana, który w swej „Gazecie Katolickiej" odezwał się do Górnoślązaków z propozycyą zawarcia z centrum zgody na nowych podstawach. Propozycya ta niejednego mogłaby zdziwić wobec faktu, że „Gazeta Katolicka" jako organ centrowy dotychczas zwalczała z całą zaciekłością polski ruch narodowy na Górnym Śląsku. Wystąpienie jej w roli obrońcy ludu polskiego było istotnie dość dziwne, wkrótce pokazało się jednak, że chodziło tu o akcyę polityczną, pomyślaną bardzo sprytnie i przeprowadzoną dość umiejętnie.

Wystąpienie narodowych demokratów i „Górnoślązaka" pod hasłem „precz z centrum!" zadało silny cios panowaniu partyi niemiecko-katolickiej z jednej strony a z drugiej odsunęło do pewnego stopnia od wpływu politycznego na ludność polską i tych nielicznych księży, którzy poczuwali się w pewnej mierze do polskości. Minęły miodowe miesiące pracy „Górnoślązaka" i nawet w tym obozie nastąpiły refleksye co do słuszności dążeń, odsuwających kler od wpływu politycznego na masy ludowe. Założone w roku 1903 „Polskie Towarzystwo Ludowe" miało pojednać duchowieństwo górnośląskie z ludem. Wyrazem kierunku pojednawczego był „Głos Śląski" p. Siemianowskiego, który wystąpił z „Katolika", nie mogąc się zgodzić na jego bezwzględną uległość dla centrum, ale nie przyłączył się do „Górnoślązaka", zbyt dlań radykalnego. Jednakże do pojednania dotąd nie przyszło, gdyż centrum, obrażone za nastawanie na jego „Besitzstand", Śląsk Górny, ani słuchać nie chciało o uznaniu jakichkolwiek praw Polaków do tej prowincyi. Nienawiść do narodowców polskich ogarnęła całą prasę centrową, nie wyłączając nawet tych organów, które skłonne były traktować dość objektywnie żądania Polaków przynajmniej w dziedzinie szkolnej nauki religii. Olbrzymia większość prasy centrowej nie ukrywała się już ze swym hakatyzmem i zaciekle rzucała się na Polaków przy każdej sposobności.

Aż oto ks. Stephan—redaktor „Gazety Katolickiej" w szeregu artykułów udawadnia, że centrum bynajmniej nie jest wrogie Polakom, że na Górnym Śląsku jest ono właściwie polskiem, bo składa się głównie z polskich robotników, chłopów, kierowanych przez księży pochodzenia miejscowego i że zgodna praca polityczna centrowców z Polakami innych frakcyj jest zupełnie możliwa a przedewszystkiem pożądana. „Gazeta Katolicka" ogłosiła się z biegiem czasu za organ duchowieństwa polskiego na Górnym Śląsku i odtąd przemawia już zwykle w jego imieniu. Jako pismo polskie, dążyła ona do zgody z tymi żywiołami, które skupiały się do koła „Katolika" i „Głosu Śląskiego", ale przeciwko Korfantemu i „Górnoślązakowi" występowało w dalszym ciągu bezwzględnie, denuncyując go o tendencye rewolucyjne, antypruskie, separatystyczne, powstańcze itd. Ks. Stephan nagromadził stos materyałów, mających udowodnić—władzom pruskim przedewszystkiem—że „Górnoślązak" popełnia zdradę stanu. Te właśnie denuncyacye zmusiły „Górnoślązaka" do uroczystego wyparcia się wszelkich stosunków z „Ligą Narodową."

Ogół pism polskich tak na Górnym Śląsku, jak i w Poznańskiem początkowo bardzo chłodno traktował występek ks. Stephana i „Gazety Katolickiej". Przeważnie milczano o nich. Tylko „Orędownik" d-ra Szymańskiego wziął słowa ks. Stephana do serca i systematycznie przedrukowywując artykuły „Gazety Katolickiej", dodawał do nich komentarze, świadczące o tem, że przywódca ludowców poznańskich traktuje propozycye ks. Stephana zupełnie na seryo i nie bez sympatyj. Bardzo nieprzychylny dla „Górnoślązaka" dr. Szymański skorzystał ze sposobności, aby utrudnić mu jego stanowisko.

Zachęcony usłużną reklamą „Orędownika", ks. Stephan broni siebie i centrum od zarzutów tendencyj hakatystycznych, jednocześnie zaznacza, że polskie duchowieństwo górnośląskie dla odrębnej polityki polskiej nie da się żadną miarą pozyskać. Z chaosu zręcznych słówek i dwuznacznych zwrotów można wysnuć wnioski co do właściwego celu akcyi ks. Stephana. A cel to bardzo sprytny.

Zrozumiawszy, że narodowe uświadomienie ludu górnośląskiego posunęła się już tak daleko, że o panowaniu nad nim centrum niemieckiego nie może być mowy, ks. Stephan przybrał charakter polski i pragnie stworzyć na Górnym Śląsku centrum polskie, najzupełniej zależne od kierownictwa niemieckiego, ale występujące w roli orędownika interesów ludu polskiego. Uważając siebie za przedstawiciela takiego centrum, ks. Stephan nawołuje wszystkich Polaków na Górnym Śląsku do połączenia się z nim i do wspólnej pracy, a jednocześnie pragnie ich przekonać, że właściwie całe „Koło Polskie" jest zupełnie niepotrzebne, że posłowie polscy najlepiej by zrobili gdyby wstąpili in gremio do centrum, a to tembardziej, że Polacy, znalazłszy się w liczbie kilkunastu w klubie centrowym, łatwoby mogli wpłynąć na zmianę jego kierunku. Jednem słowem zapomocą sprytnej sztuczki ks. Stephan usiłuje nietylko powetować wszystkie dotychczasowe straty centrum, ale i zdobyć bardzo poważny naddatek w postaci wcielenia „Koła Polskiego" do centrum.

Ciekawą jest argumentacya ks. Stephana na tym punkcie. Mówi on, że kiedy dwa lata temu agitowano za p. Korfantym, od tych jego zwolenników, którzy szli za nim dla jego stanowiska narodowego, dawało się słyszeć zdanie, że Polak nie może głosować na nikogo innego prócz na Polaka, t. j. na członka „Koła Polskiego". To zdanie—powiada ks. Stephan—było wynikiem kłamstwa „Górnoślązaka", że centrum było partyą nie polityczną, tylko niemiecko-narodową, a „Koło Polskie" partyą polsko-narodową i że te dwie partye nie mają nic wspólnego po za jednakowymi interesami religijnymi. Ks. Stephan jest innego zdania. Polega ono na tem, że „Koło Polskie" przyznaje się w polityce do tych samych zasad co i centrum, że tak samo jak i ono opiera politykę ogólną w państwie na konstytucyi i na prawie przyrodzonem, że „Koło Polskie", jak mówią teologowie, jest *de anima centri* (z ducha centrowego) a tylko nie jest *de corpore centri* (z ciała centrowego). Jedyną różnicą pomiędzy tymi dwoma centrami parlamentowymi jest ta, że członkowie jednego nie figurują na liście drugiego. Wniosek ks. Stephana z tego sofistycznego galimatyum jest taki, że „Koło Polskie" to jest centrum poskie. Takie utożsamianie dwóch tych grup politycznych pozwala mu snuć dalszy wątek dowodzeń w ten sposób. W sprawach polskich uważamy członków centrum za obrońców ludu polskiego. Obie partye są różnego znaczenia i różnej wartości co do zawodu i co do celów. (Zakrawa to na dowcipną satyrę niedołęstwa „Koła Polskiego"). Nasuwa się teraz pytanie „delikatne", jaka partya prędzej i łatwiej może wyrobić coś ludowi polskiemu. Naturalnie centrum jako silniejsze, zwłaszcza, gdyby Polacy, zamiast tworzyć koło własne, dali się zapisać do centrum.

Ks. Stephan przypuszcza, że Polacy prawdopodobnie „wzdrygną się na taką propozycyę", ale sądzi, że „najłatwiejszy byłby to sposób i najbliższa droga do naprawy centrum, jeżeli tej ono w sprawie polskiej potrzebuje". Partya jest taka, jacy są członkowie. Chcesz poprawić partyę, staraj się aby miała członków takich, jakich ty chcesz mieć — dodaje sentencyonalnie ks. Stephan.

Nęcąc—wbrew wszelkim faktom oczywistym — Polaków obietnicami, że centrum stanie się dla nich najlepszym obrońcą, skoro w niem staną, ks. Stephan szkicuje stanowisko centrum w sprawie polskiej w następujący sposób. Partya centrowa broni o tyle praw ludu polskiego o ile pozwala prawo przyrodzone i konstytucya. Według programu centrowego ludności polskiej to wszystko trzeba przyznać i tego wszystkiego bronić, co im przyznaje prawo przyrodzone i konstytucya, mianowicie zachowanie i pielęgnowanie swej narodowości i równouprawnienia przed prawem. Program ten, niemający wiele wspólnego z istotnem stanowiskiem centrum względem Polaków, mógłby ujść za wyraz prawdziwych poglądów partyi centrowej, gdyby właściwi koledzy ks. Stephana nie psuli mu interesu swoimi wycieczkami hakatystycznemi.

Udało się ks. Stephanowi przełamać pierwotny brak ufności obozu polskiego na Górnym Śląsku. Obecnie z wyjątkiem „Katolika" — pisma wszystkie zmieniły swe pierwotne stanowisko. Pierwsza odezwała się w duchu ugodowym „Gazeta Opolska". Za nią poszedł „Głos Śląski". Organ p. Siemianowskiego pisze: Ostatnie artykuły „Gazety Katolickiej" przyznają naszemu ruchowi polskiemu prawo do rozwoju narodowego, uznają go za uprawniony,

tylko „Gazeta” domaga się aby on stanął w ramach partyi centrowej, którą uważa za lepszą i za korzystniejszą dla ludności polskiej, aniżeli „Koło Poskie”. Myśmy już powiedzieli, że na takie stanowisko godzić się nie możemy. Ale to nie dowodzi, żebyśmy nie mogli utworzyć podstawy takiej, któraby nam umożliwiła wspólną pracę z księżmi, stojącymi po za „Gazetą Katolicką”. Jeżeli księża owi nie chcą stanąć na stanowisku „Koła Polskiego”, jeżeli chcą pracować dla ludu pod chorągwią centrową, byleby tylko w kierunku szczerze polskim, nie będziemy pod tym względem żadnego nacisku na nich wywierali, ani też jakichkolwiek zarzutów im czynili. Zresztą „Głos Śląski” zawsze był organem najbardziej umiarkowanego i najbliższego księżom skrzydła narodowców polskich. To też nic dziwnego, że poszedł chętnie na lep słodkich słówek ks. Stephana. Dziwniejszem jest, że „Górnoślązak”, który rozpoczął walkę pod hasłem „precz z centrum”—przemawia jeszcze bardziej pojednawczo od organu p. Siemianowskiego. „Górnoślązak” pisze o „Gazecie Katolickiej” jako o polskim odłamie centrowców, któremu przysługuje prawo nadania kierunku politycznego w śląskiej partyi centrowej. Jeżeli—pisze „Górnoślązak”—zdobędzie sobie przysługujące mu stanowisko kierowania sprawami politycznemi, nie będzie wówczas trudne porozumienie się z naszą partyą polską, gdyż dzielić nas będą tylko zapatrywania polityczne, nie narodowościowe, które odgrywają obecnie bardzo ważną, a można powiedzieć wyłączną rolę. Że porozumienie jakieś nastąpić powinno, obiecuje wykazać „Górnoślązak” w najbliższej przyszłości.

Tak więc akcya ks. Stephana jest złotym mostem, który umożliwi narodowcom z pod sztandaru p. Siemianowskiego i narodowym demokratom przejście do polityki ścisłego sojuszu i ugody z centrum. I po co było w ciągu tak długiego stosunkowo czasu tracić energię na zwalczenie centrowców? W głowach naiwnych polityków polskich świta myśl, że sojusz z księżmi, stojącymi przy „Gazecie Katolickiej”, pozwoli im rozbić centrum na dwa obozy—niemiecki, do którego wejdą czyści hakatyści i polski. Ale myśl ta jest złudzeniem: katolicki obóz centrowy na Górnym Śląsku za silny jest na to, aby od niego można było oderwać księży, ulegających przedewszystkiem swej hierarchii duchownej.

W obozie narodowych demokratów daje się zaznaczyć pewien rozłam. Mianowicie poseł Korfanty, który wystąpił już przed dwoma miesiącami z redakcyi „Górnoślązaka”, założył obecnie w Katowicach własny organ „Polaka”, nad czem ubolewa „Górnoślązak”, gdyż nowe pismo stwarza mu niepożądaną konkurencyę.

Podczas świąt Wielkiejnocy w Katowicach odbył się przy bardzo licznym udziale delegatów ze wszystkich prowincyj polskich Prus jako też i z emigracyi (Westfalia, Berlin, Brema i t. d.) VIII zjazd polskiej partyi robotnicznej. Najważniejsza uchwała zjazdu dotyczyła dalszego kroku w kierunku „ukrajowienia” tej organizacyi. Mianowicie przeniesiono na Górny Śląsk zarząd partyjny, który dotychczas przebywał w Berlinie. Do zarządu weszli pp.: dr. Golde, Haase, Idziński, Morawski i Adamek. Po zatem postanowiono wydać akcye, umożliwiające przekształcenie „Gazety Robotniczej na dziennik. Wypracowano też zasady umowy z partyą niemiecką, gwarantujące Polakom zupełną swobodę w sprawach polskich.

Pośrednik.

Sprawa teatru krakowskiego.

Ma wkrótce być rozstrzygnięta sprawa dzierżawy krakowskiego teatru miejskiego. Jakkolwiek dotyczy ona bezpośrednio grodu podwawelskiego, to jednak posiada doniosłość, przekraczającą ramki nietylko jednego miasta, ale całej prowincyi. Teatr krakowski bowiem z łatwo zrozumiałych powodów zajmuje stanowisko wyjątkowe, to też na stworzeniu z niego ogniska prawdziwej kultury artystycznej zależy całemu społeczeństwu polskiemu. A przyznać trzeba, że w ostatnim okresie, pod dyrekcyą pana Kotarbińskiego (1899 — 1905) teatr krakowski był bardzo daleki od tego ideału i, co gorsza, oddalał się od niego coraz więcej.

Jedynie jego stan finansowy przedstawia się dobrze i pod tym względem okres ubiegły był nawet wyjątkowym. Natomiast wszystkie inne znajdują się w stanie opłakanym. Niemożliwe traktowanie autorów dramatycznych ze strony państwa Kotarbińskich wywołało jedyny w swoim rodzaju bojkot sceny krakowskiej przez wszystkich niemal współczesnych dramaturgów polskich. Wyspiański, Żuławski, Rydel, Feldman, Orkan, Miciński postanowili więcej nie dawać sztuk swych teatrowi krakowskiemu, a niektórzy (Wyspiański, Żuławski) wyraźnie zabronili p. Kotarbińskiemu wystawiania swych utworów. Teatr krakowski bez Wyspiańskiego! — to istotnie krzycząca anomalia, która najlepiej dowodzi, że panują w nim stosunki wręcz niezdrowe. Ale trudno się dziwić artyście, że nie chce dawać swych sztuk na poniewierkę przez niedbałe wystawianie nędzną obsadę ról i t. p. środki przysporzenia kasie jak największych dochodów z zupełnem pominięciem względów artystycznych. Zraziwszy sobie prawie wszystkich żyjących autorów, poczęto coraz hojniej obdarzać publiczność sztukami autorów umarłych — i to tem chętniej, że ci ostatni nie wymagają ani honoraryów ani tantyem. Idąc w tym kierunku doszło do karykaturowania takich rzeczy jak arcydzieła Krasińskiego, zgoła dla teatru nieprzeznaczone.

Nie lepiej było i z personelem artystycznym. Gospodarka państwa Kotarbińskich dość gruntownie oczyściła scenę krakowską z talentów wybitniejszych. Jak samo sprawozdanie obecnej dyrekcyi zaznacza, brakuje: bohatera, amanta, naiwnej, salonowo - charakterystycznego, charakterystyczno - komicznej. Na domiar złego, dwie najwybitniejsze artystki z pozostałych pp. Mrozowska i Wysocka, postanowiły opuścić Kraków.

Wobec takiego stanu rzeczy „kwestya teatralna” w Krakowie staje się kwestyą palącą, która interesuje szeroki ogół i zniewala do zabierania głosu tak pojedyncze osobistości, jak i całe grono fachowców i niefachowców. W radzie miejskiej rozwinęła się wyczerpująca dyskusya, w której p. Daszyński poddał druzgocącej krytyce artystyczną stronę działalności p. Kotarbińskiego. Przez dzienniki przewinęły się rozmaite protesty i interviewy, a świeżo ukazała się ciekawa broszura p. Wilhelma Feldmana, napisana z entuzyastyczną czcią dla Wyspiańskiego i polecająca jego kandydaturę na kierownika sceny krakowskiej.

Pan Feldman dziwi się wprost, że wśród ożywionej dyskusyi i dość daleko już, jak słychać, doprowadzonych petrarktacyi, nazwisko Wyspiańskiego nie zostało dotąd wymienione, choć jest on na kierownika sceny wprost jakby stworzony. Pamiętne są dla teatru polskiego pierwsze przez Wyspiańskiego kierowane przedstawienia „Wesela“, „Dziadów“, „Wyzwolenia“, „Bolesława Śmiałego“. Takie przedstawienia mógł inscenizować tylko wyjątkowy człowiek, będący w jednej osobie genialnym poetą, malarzem i reżyserem. A trzeba pamiętać, że inscenizował je z minimalnym nakładem środków, jakie teatr krakowski dawał mu do rozporządzenia. W parze z niebywałym darem inscenizacyi u Wyspiańskiego idzie talent dobierania, przygotowywania i używania sił aktorskich. Wyspiański umie odkrywać zdolności i korzystać z nich we właściwy sposób. Oprócz tego jest on znakomitym pedagogiem. Artyści, którzy pod jego kierunkiem przygotowywali pewną sztukę, zawdzięczają mu niemało nietylko w zakresie tej jednej sztuki. Nie jest to tajemnicą, że pierwszorzędni artyści polscy, przyjeżdżają do niego po rady i informacye przy objęciu nowych ról odpowiedzialnych. Jednem słowem, zdaniem p. Feldmana jest on zdolny do stworzenia wielkiej szkoły dla artystów polskich, której obecnie niema nigdzie. I nietylko to. Stworzy teatr polski. Słowacki będzie odczuty, nie jak się odczuwa Szekspira, Mickiewicz nie a la Schiler. Fredro grany nie po molierowsku, no i Wyspiański grany tak, jak go pojmuje Stanisław Wyspiański. „Tak traktowany repertuar — mówi p. Feldman — będzie odkryciem i dla nas i dla Europy; wniesie do koncertu sztuki europejskiej nową nutę; prezentowany zagranicą — zdoła olśnić ją zadziwić, stanowić dla niej nowy świat, jak był nim np. skandynawski. I Kraków przemieni się z czasem w Bayreuth, do którego swoi i obcy będą pielgrzymowali.

Wyspiański świeżo ukończył dwa dzieła, które p. Feldman nazywa rozprawami habilitacyjnemi do objęcia teatru. Pierwsze to „Dom lekarza“, przy ulicy Radziwiłłowskiej, zbudowany, urządzony wewnątrz i ozdobiony według pomysłów i rysunków Wyspiańskiego a jeden z najciekawszych osobliwości krakowskich. Drugie to studyum o „Hamlecie“, w którem znajdujemy niezwykle głęboką psychologię teatru. Fakt, że Wyspiański jest w jednej osobie wybitnym dramaturgiem, malarzem-dekoratorem i reżyserem, wystarczy, aby mu dać przewagę nad wszystkimi innymi kandydatami, a wszechstronność jego zastąpi mnóstwo sił pomocniczych, których brak środków nie pozwala utrzymywać.

Tak goraco przemawia p. Feldman za kandydaturą Wyspiańskiego, choć nie tai, że jego widoki nie są świetne. Zawód, jakiby go spotkał, nie byłby pierwszym. Wszak on z kościoła franciszkańskiego swymi witrażemi zrobił jedną z ozdób Krakowa, nie pomijaną przez nikogo z przejezdnych, a tymczasem wykończenie tej pracy oddano komu innemu. Wszak jego witraże, przeznaczone do katedry na Wawelu, poszły do zbiorów muzealnych; przy restauracyi katedry jego pominięto, to samo jest i podczas przygotowań do restauracyi zamku wawelskiego. Podobno z pomiędzy stających do apelu kandydatów (Kotarbiński, Bandrowski, Rygier, Solski, Wyspiański) najwięcej widoków posiada Solski — praktyczny reżyser, ale niedający żadnej gwarancyi, że za jego dyrektorstwa teatr krakowski stanie na wyższym poziomie. Przeciwnicy kandydatury Wyspiańskiego wysuwają względy natury praktyczno-gospodarczej, z którymi genialny poeta nie dałby sobie wrzekomo rady.

W ostatnich dniach wyłonił się nowy projekt rozwiązania kwestyi teatralnej w Krakowie. Projekt ten podniosła „Czytelnia artystów teatru miejskiego“ — organizacya skupiająca w sobie większość personelu sceny krakowskiej. Chodzi o „umiastowienie“ teatru. „Czytelnia artystów“ zwraca się do rady miejskiej z prośbą o wzięcie teatru w bezpośredni zarząd miejski z pominięciem wszelkich dzierżawców. Kierownika artystycznego mianowałaby ra-

da miejska, przyczem miałby mu być dodany zawodowy administrator teatralny, również z ramienia rady miejskiej. Ponieważ o stratach materyalnych nie może być mowy wskutek wyjątkowego położenia Krakowa, gdzie teatr liczy na całe zastępy publiczności przejezdnej, przeto pod względem finansowym projekt jest bardzo dobry. I artystyczna strona przedsięwzięcia przy „umiastowieniu" teatru niewątpliwieby zyskała. Kto wie, czy przy takiem postawieniu kwestyi, kandydatura Wyspiańskiego na kierownika artystycznego teatru nie byłaby najbliższą zrealizowania. Albowiem wobec istnienia mianowanego przez radę miejską administratora, nawet ci, których przestrasza myśl o trudnościach administracyjno-gospodarczych, którym nie podołałby wielki poeta, mogliby być spokojni. Projekt „umiastowienia" teatru krakowskiego, sądząc z głosów prasy, zyskuje coraz więcej zwolenników. *Daleki.*

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Kij w kole.

Trudno wyobrazić sobie objaw naturalniejszy i bardziej pożądany, niż pospieszne grupowanie się w naszem społeczeństwie jego pierwiastków dla przyjęcia udziału w przetwórczej pracy politycznej świeżego zwrotu. Dzięki bowiem temu ruchowi naród wychodzi z zabójczego stanu atomizacyi, skupia się, uświadamia sobie swoje potrzeby, siły i cele, potęguje swoją energię. Zdawałoby się, że to powinno, jeśli nie wszystkich cieszyć, to przynajmniej nikogo nie gniewać. Tymczasem — nie. Odbyły się już dziennikarsko-chunchuzowe napady, na „samozwańców", których przekłuto stalówkami. O ile czytelnik nie jest oswojony z tym pęcherzem żółciowym naszej rodzimej wątroby, winniśmy go objaśnić, że jest u nas jedno, najliczniejsze stronnictwo, które nigdy nie przestaje działać i posiada największą pretensyę do przewodniczenia ogółowi, mianowicie partya przekorników, których głównem zajęciem jest—jak ktoś słusznie zauważył—wsadzanie swego kija w szprychy cudzych wozów. Nie pytają oni, kto jedzie, co wiezie i dokąd łaży, bo pilnują tego tylko, żeby nikt nie jechał, nie wiózł i do nikąd nie dążył. Olbrzymie to stronnictwo składa się przeważnie z ambitnych próżniaków, niedołęgów, paszkwilistów, zbankrutowanych działaczów, półgłówków, maniaków—słowem, z gatunków, które wszędzie rozradzają się najpłodniej. Są między nimi nałogowcy i specyaliści, którzy nic innego nie robią, tylko w rozmaitych kierunkach i odległościach wyrzucają złą ślinę, najczęściej opluwając własną brodę. Zwłaszcza jeden z nich, straszliwie radykalny, wynurza się z topieli co tydzień jak wodnik w dramacie Hauptmana, ażeby zaskrzeczeć: *breke - keks - koaks - koaks*—przeciw wszystkiemu i wszystkim, co się mieści po za jego studnią, która naturalnie kiedyś może również stać się celem plucia.

Owym kijem powstrzymującym bieg cudzego wozu bywa zwykle kwestya „mandatu" społecznego. A kto wam dał „pełnomocnictwo do działania w imieniu narodu?"—z takiem pytaniem zastępują drogę spieszącym rewidenci paszportów obywatelskich. Legitymacya bardzo prosta: kto tym panom dał pełnomocnictwo do pytań „w imieniu narodu"; kto ich upoważnił do składania w swych publicystycznych ćwiczeniach rozmaitych oświadczeń „w imieniu narodu"; kto im pozwolił używać wyrażeń: „my Polacy" lub „nasze społeczeństwo", kto ich wydelegował do dawania rad ogółowi? O tem, ażeby ktokolwiek u nas zawierał jakieś obowiązujące kogokolwiek układy w imieniu narodu—nie słyszeliśmy; słyszeliśmy tylko o pewnych staraniach poprawy warunków jego życia—co wolno robić bez plenipotencyi. Niewątpliwie każdy ma prawo powiedzieć: nie upoważniałem nikogo do zabiegów, ażebym był zabezpieczony od wybijania mi zębów lub obcięcia nosa, ale takiej operacyi można się dobrowolnie poddać wbrew wszelkim ubezpieczeniom. Niech więc stróże „mandatów" uspokoją się: co najwyżej takie tylko niepożądane usługi wyświadczą im samozwańcy. A jeżeli nadejdzie pora ułożenia i podpisania jakiegoś aktu w imieniu narodu, no wtedy powołamy owych stróżów prawomocności, którzy tymczasem mogą sobie spokojnie pisywać bezmyślne artykuły. *g.*

Niebezpieczna próba.

Jeden z ordynackich demokratów w *Gońcu*, p. Ko. bez żadnego widocznego powodu napadł i splugawił kogoś z *Prawdy*, kogo wyraźnie nie nazwał, ale okrył przejrzystą zasłoną. Nic w tem dziwnego: prasa, która jest przecie odbiciem życia i ma swoje zaułki, musi mieć także swoich nożowców, którzy tem tylko się różnią, że używają „majchrów" słownych. Ale co jest nowem i w naśladowaniu może wytworzyć bardzo niebezpieczną licencyę, to—o ile nam wiadomo — pierwsza w warszawskich pismach próba publicznego wiązania wyraźnie wskazanych osób z niedozwolonymi czynami i aktami politycznymi zapomocą domysłu lub kłamstwa. Nie chcielibyśmy hr. Zamojskiemu zmniejszać renty *Gońca*, która może przy stosowaniu takich zabiegów utrzyma się w wysokiej mierze; zdaje nam się jednak, że posiadając prawdopodobnie dość wyczuloną wrażliwość na sprawy honoru, powinien on wyjaśnić niektórym ze swych ludzi w redakcyi, iż taka działalność w dotychczasowych warunkach jest jeszcze zadaniem osobnego zawodu, panującego po za granicami uczciwej publicystyki. Być może, iż kiedyś, kiedy zniknie wszelka odpowiedzialność z jawnego prowadzenia buchalteryi politycznej, przestanie być sromotną uprawa tego rodzaju doniesień i oskarżeń; tymczasem wszakże jest to jeszcze bagno, na którym nie rośnie wawrzyn, tylko wilcze łyko. Zresztą po co w nie włazić, jeśli duszy głodnej szkalowania można przecie—jak tego dowiódł p. Ko. — obficie dogodzić zwyczajnemi obelgami. Przybędzie z tego wprawdzie ordynacyi Zamojskich jedna karczma więcej, ale nie przybędzie społeczeństwu jeden więcej ohydny zwyczaj. *p.*

Aby krzyknąć...

Na kilku punktach bezpośredniego zetknięcia się Polaków z innemi narodowościami występuje ostra, nienawiść wzajemna, która stanowi jedną z najniedorzeczniejszych postaci fanatyzmu i nierozumu politycznego. Tak jest w Galicyi i tak na Litwie, Zdawałoby się, że tu i tam węzły szczególnej zgody i przyjaźni powinnyby łączyć pewne społeczeństwa; tymczasem widzimy jakieś dzikie warczenie i szczerzenie ku sobie zębów. Obecnie hasło do wybuchu niechęci dał ks. Biła w piśmie litewskim *Vilniaus Zinios*. Nie będziemy rozstrzygali, jaki biskup — polski czy litewski — powinien zasiąść na katedrze sejneńskiej i jak sprawiedliwość ustosunkowałaby ilość księży w tej dyecezyi, bo zwłaszcza w sprawach religijnych a raczej kościelnych trudno pogodzić walczących kogutów. Zwrócimy natomiast uwagę rzeczników litwinizmu (któremu życzymy najswobodniejszego i najpomyślniejszego rozwoju), że wymagany przez nich (nienarodowy) uniwersytet w Wilnie chyba by nie pomógł do „odkopania wyschniętych źródeł nauki". Jeżeli oni z tego powodu wołają: „Tu tylko jak w sercu powinna się zbiedz najgorętsza krew naszego (litewskiego) narodu, która będzie źródłem natchnienia do pracy i walki życiowej; tu tylko powstaną rzeczywiste ideały"—itd., jeżeli tak mówią wskrzesiciele Litwy, to tylko dowodzą, że chcą koniecznie w gwar życia rzucić jakiś szumny frazes, ale nie mają należytego pojęcia o tem, jaka to szkoła „odkopuje źródła nauki", dostarcza „natchnień do pracy i walki", oraz stwarza „rzeczywiste ideały". Upewniamy ich, że nie każdy uniwersytet. *n.*

Odlot.

Podobno biuro do wydawania paszportów zagranicznych nigdy nie miało tylu żądań, co obecnie: przezorni ludziska uciekają z kraju w obawie „rozruchów". Trudno zaprzeczyć, że społeczeństwo nasze ulega mocnym wstrząśnieniom, ale te jego drgnienia oddziaływają tylko na ogólny proces przekształcania się stosunków, nie zaś na bezpieczeństwo jednostek lub stanów. Pomimo licznych zamieszek i powszechnych bezroboci nie słyszeliśmy o wypadku napaści lub krzywdy, wyrządzonej osobom a wywołanej pobudkami socyalnemi. Jeżeli więc gromada pieniężników ucieka za granicę, to dowodzi, oprócz plam na sumieniu, także ich zupełnej nieznajomości swego społeczeństwa. Żyjąc bez żadnego moralnego z nim związku, nie zaglądając nigdy do jego wnętrza, nie rozumiejąc wcale objawów jego duszy, nie pojmują również obecnych ruchów; wiedzą tylko, że coś się dzieje, że to coś może stać się dla nich niebezpiecznem i że powinni wcześnie osłonić swoją skórę. Daremnie tłomaczylibyśmy, że im osobiście nic nie grozi, że koło nich nie zapalił się pożar rewolucyi, że mogą spokojnie siedzić w kraju; nie przekonamy ich, bo uwierzyliby nam dopiero wtedy, gdyby nie byli tak bezmiernie ograniczeni i obcy uczuciowo względem swego otoczenia społecznego. Niech więc jadą. Niestety, wrócą... *h.*

„Przeciągnięta struna".

Gazeta Polska uznała, że ostatnie bezrobocie u nas były już „przeciągniętą struną". Właściwie to „przeciągnięcie struny" nastąpiło już dawniej, mianowicie wtedy, kiedy jej stroicielom zdawało się, że zdumieli świat nieznanym nam dotąd widokiem wstrzymania całej maszyny społecznej. *Gazeta Polska* bowiem bez zająknienia twierdzi, że słusznej przyczyny do powszechnego bezrobocia nigdy nie ma i być nie może", że „w dusznej atmosferze tego przymusowego świętowania był jeden promień jaśniejszy"—uświadomienie sobie przez ogół, że „nie można i nie trzeba poddawać się przymusowi". Nie wiemy, jak tam sobie kiedyś poradzi *Gazeta Polska* gdy jej zecerzy zaświętują, ów bowiem „jaśniejszy promień", który padł na jej duszę śród „dusznej atmosfery", jest raczej zapowiedzią obronnych czynów, niż samym czynem. Chcąc wszakże ulżyć jej strapieniu, radzimy, ażeby we wszystkich podobnych wypadkach, ile razy sfinks społeczny da jej do rozwiązania trudną zagadkę, zwracała się o pomoc do *Warsz. Dniewnika*. Mówimy to najzupełniej poważnie, bo ten organ urzędowy częstokroć okazuje więcej przedmiotowości i bezstronności w stwierdzaniu faktów, niż niektóre nasze pisma.

Oto np. w tym samym numerze *Gazety Pol.*, w którym ona nadaremnie szuka przyczyny powstrzymania robót 4 maja, znajduje się przytoczona następująca notatka *Dziennika*: „Posłuszni wezwaniu członków partyi socyalno-demokratycznej, która uchwaliła, w charakterze protestu, uczcić bezrobociem powszechnem pamięć osób, poległych w czasie zaburzeń w dniu 1 maja,— fabryki, zakłady przemysłowe, warsztaty, większość sklepów i magazynów, redakcye pism miejscowych, część restauracyi i cukierni przerwały od rana swe czynności". Czy wobec tego jasnego komentarza potrzeba było odkręcać „przeciągniętą strunę"?

d.

Bez urazy.

Goniec przeprowadził elegijną polemikę ze *Słowem* w przedmiocie grona zamianowanego do obrad nad samorządem ziemskim. Użala on się głównie na to, że „osoby, powołane do tej roli, nie cieszą się wcale popularnością i zaufaniem szerszego ogółu", że „ugodowcy nie są synonimami obywateli ziemskich" i że obywatele ziemscy nie przedstawiają interesów tej ogromnej sfery, którą ma objąć samorząd. Teoretycznie *Goniec* ma zupełną słuszność, praktycznie jej nie ma. Nie wierzymy bowiem, ażeby wyrabiana obecnie ustawa samorządu ziemskiego dla Królestwa miała być oryginalnem dziełem tutejszych radców, będzie ona tylko odlewem typu ustalonego w Cesarstwie, więc na jej formę taki lub inny ich garnitur wcale nie wpłynie. Powtóre jest pytaniem bardzo wątpliwem, czy los zapewni temu wyrobowi dłuższą trwałość, bo wobec ustawicznej a nieskończonej jeszcze przemiany stosunków ustroju państwowego obecne ich postacie, zwłaszcza wyrabiane ze starych modeli, mogą mieć bardzo krótkie istnienie. Skutkiem tego $^{1}/_{23}$ nie powinno budzić ani zazdrości, ani pretensyi, chociażby nawet urosło do $^{23}/_{23}$.

a.

Brak perspektywy.

W ożywieniu, jakie nastąpiło u nas w czasach ostatnich, coraz to więcej daje się zauważyć pewna cecha, powodująca ciągłe wikłanie się najprostszych, zdawałoby się, rzeczy. Naskutek odzwyczajenia się od brania żywszego udziału w sprawach społecznych, ogół nasz utracił poczucie perspektywy. Wszelkie zdarzenia, wszelkie fakty umieszcza on na jednej płaszczyźnie i dziwi się potem, że takie cudackie kombinacye z tego wychodzą. Mało kto o tem pamięta, że żadna akcya nie opiera się na jednym decydującym czynie, a składa się z całego szeregu ogniw niezbędnych i koniecznych dla skutecznego osiągnięcia celu. U nas od każdego kroku żądają, aby wywarł natychmiastowy skutek, lub aby przynajmniej był tak zwanej pierwszorzędnej wagi. Tymczasem drobne zdarzenia, choć nie mają tego wielkiego, reprezentacyjnego lub decydującego znaczenia posiadają swą wartość, choćby dlatego, że są wypływem konieczności. Błędem jest zapoznawanie tych małych rzeczy. Rozdmuchiwanie ich do wielkości im obcej nietylko że nie naprawia tego błędu, lecz go potęguje, tumaniąc ludzi pyłem frazesów. W obecnem położeniu niezmiernie ważnem jest, aby ogół pojął, że wielka akcya to nie jednorazowy, efektowny spektal, a zmudna praca, opierająca się zarówno na wielkich jak i drobnych faktach. Należy na wszystko patrzeć z punktu widzenia perspektywy, odróżnić drobne od ważniejszych zdarzeń, a w każdem wyczuć jego właściwy sens. Należy odrzucić nieświadome uganianie się za efektem, a wszędzie szukać treści. Punktem oparcia w tem powinno byc zrozumienie istoty obecnego poruszenia i stosowanie do niej wszelkich poczynań. Ten probierz łatwo wykaże, co jest mylnem i błędnem, a co wiodącem do celu. Krytycyzm powinien być towarzyszem entuzyazmu czynu, inaczej szlachetne chęci mogą zejść łatwo na manowce.

xy.

Umyślna ślepota.

Publicyści nasi poczęli omawiać wypadki dni ostatnich. Naturalnie odezwali się ci, którzy to uczynić mogli, a więc dziennikarze tak zwanej prawicy. Nie troszcząc się o to, że przy ciasnych warunkach dzisiejszych ci, którzy nie podzielają ich poglądu, nie mogę się wypowiedzieć, a może właśnie dlatego, uzurpują sobie jakieś ogólne przedstawicielstwo, wypowiadają sądy jakoby znacznej większości społeczeństwa. Umyślna ślepota nie pozwala im zrozumieć natury położenia, bredzą o niechęci ogółu, terorze itd. Fakt, zdawałby się jasny, wykazujący po czyjej stronie stoi uczuciowa sympatya ludności, jakie środki działania znajdują w niej poklask i uwielbienie, dla dziennikarzy naszych nie istnieje. Nazywam to umyślną ślepotą dlatego, że nieprawdopodobnem jest, aby ci ludzie szczerze wierzyli, że to, co piszą jest zgodne z istotnym stanem rzeczy; nie, słudzy i kierownicy ciasno patrzącego na życie zachowawczego odłamu naszego społeczeństwa świadomie służą oni interesom klasy posiadającej, i w tym celu sieją postrach, szerzą kłamliwe wieści, sami nie ceremoniując się z opuszczeniem stanowiska przez siebie zajmowanego. Umyślna ta ślepota jest dlatego niebezpieczna, że ogół nasz jeszcze nie przyzwyczaił się do odbicia się grupowania społecznego na szpaltach dzienników i to kłamliwe oświetlenie położenie może go nieraz w błąd wprowadzić. Dla dalszego rozwoju wypadków szkodliwą jest gra tych panów, opierających się na monopolu jaki im jest przyznany pod wiadomemi koncesyami, lecz przyszłość wyjaśni i wykaże wartość dobrowolnych sojuszników — czyich? łatwo chyba to sobie dopowiedzieć.

dz.

Bladość druku.

Zawsze życie barwniejsze jest od druku. Żadne słowo nie obejmuje oceanu migocących się barw, lekkich odcieni, cichych szmerów i tej ciągłej ruchliwości, która cechuje życie. Nigdy może nie było to tak widocznem i tak krzycząco bolesnem, jak obecnie. Warunki zewnętrzne, nakaz, mus czynią wszystko, co się drukuje, tak nikłem, bladem, małem, że wstyd pisać i lęk ogarnia czy pisanie dzisiaj nie jest oznaką oschłości i chłodu. Życie wre, kipi, to szaleje burzą, to grozi milczeniem, a weźmy nasze pisma, choćby postępowe — te najlepsze? Jakże przeraźliwie puste są ich karty, jak ciasne, rażące sztuczną monotonią głosy. Chwilami zda się, że życie idzie inną drogą, a druk inną, że nieprędko się spotkają. Może długotrwałe przyzwyczajenie wytworzeło rutynę i szablon. Zaledwie można coś szepnąć, kryjąc się za parawan słów, a potem znowu się pisze szare, bezbarwne rzeczy. Bladość zabija powagę pisanego słowa bladość odsuwa je na stronę z gościńca, którym kroczą dzieje.

zr.

Rezultat ankiety.

Niedawno poruszaliśmy sprawę pomocy lekarskiej w fabrykach i stosunku lekarzy do pacyentów fabrycznych. Korespondent łódzki *Kur. Warsz.* podaje ciekawy przyczynek do tej kwestyi. Towarzystwo lekarskie w łodzi, aby zebrać materyał w celu reorganizacyi pomocy medycznej dla robotników fabrycznych, rozesłało do wszystkich lekarzy fabrycznych Królestwa kwestyonaryusz, z prośbą o dane. Odpowiedziało aż dwóch. Drobnostka ta wykazała, że położenie się nie zmieniło. Lekarze fabryczni jak dawniej nie traktują swego zadania poważnie. Czas żeby opinia zwróciła na to uwagę i swych benjaminków zmusiła do innego zachowania się na stanowiskach. Hygiena fabryczna przedstawia się słabo, a winę tego zwala się na warunki, uwalniając od odpowiedzialności tych, którzy wykręcają się od pełnienia swoich obowiązków. Rezultat łódzkiej ankiety zasługuje na wniesienie do ksiąg polskiej kultury, jako świadectwo poziomu umysłowego naszych lekarzy fabrycznych.

ao.

Cyfry.

Dzienniki nasze podają od czasu do czasu statystyczne dane, tyczące się ludności Warszawy, rodzajów chorób, ilości zasłabnięć, śmierci i t. p. Cyfry te mówią wiele. Przypomnijmy sobie wykazy zeszłotygodniowe: czternastoletni, trzynastoletni, szesnastoletni i znowu czternastoletni i znowu szesnastoletni. Dzieci, tyle dzieci, to znaczy budzące się życie, chłonące światło serca, rosnące pragnienia, nadzieje, radość, ciekawe oczy, zasłuchane twarze. Tyle dzieci... Tyle trumienek. Były niegdyś krucyaty dziecięce, szły dzieciny, jak zasuggestyonowane przed siebie—szły i ginęły. Wiele wieków upłynęło, i znowu idą dzieci. Śmierć ich nagła, raptowna przejęła zgrozą najmroźniejsze serca. W istocie jest to rzecz i dla czasów naszych niezwykła. Ma ona wielkie znaczenie, lecz czyż to osuszy łzy matek, czyż to ukołysze jęk i rozpacz, czyż to zastąpi to istnienie zgasłe tak niespodziewanie, tak raptownie... Cyfry i wykazy często mówią straszne, nieubłaganie tragiczne prawdy.

g.

BADANIA NAUKOWE

Z TAJNIKÓW wewnątrzkomórkowych.

Odkrycie komórki roślinnej, a następnie zwierzęcej przeniosło główny punkt ciężkości badań biologicznych na badania mikroskopowe.

Nagromadziły one niezliczoną ilość faktów, dowodzących słuszności poglądu na ustrój organizmów, jako na mniej lub więcej ściśle zespolone z sobą społeczeństwa komórek. I jak psychologia i fizyologia człowieka niezmiernie ułatwia nam rozejrzenie się w zawiłych zjawiskach tłumu i zorganizowanych społeczeństw ludzkich, tak wniknięcie w głąb zjawisk fizyologicznych wewnątrzkomórkowych odkryło już nam i w przyszłości niewątpliwie jeszcze więcej odkryje oraz wyjaśni zdumiewającą „konstytucyą międzykomórkową" roślin i zwierząt.

Od czasu jak Ernest Brücke trafnie nazwał komórkę organizmem elementarnym badania biologiczne nagromadziły olbrzymią ilość spostrzeżeń stwierdzających słuszność tego poglądu i wykazujących, szczególniej w świecie organizmów jednoko

kowych wielką złożoność i zróżnicowanie ciała komórkowego.

Wymoczki (*Infusoria*) i promieniowce (*Radiolaria*) z jednej strony, a liczne wodorosty jednokomórkowe z drugiej, opatrzone są licznemi organami (a właściwie organoidami) bardzo nieraz zawiłej budowy, zapomocą których mikroskopowe te istoty spełniają swe funkcye fizyologiczne.

Zresztą i tam, gdzie dla oka, nawet uzbrojonego w mikroskop, wnętrze komórki wydaje się jednorodną, niezróżnicowaną masą plazmatyczną, udoskonalona technika histologiczna a szczególniej odpowiednie metody barwienia tkanek odsłoniły istnienie licznych zróżnicowanych utworów wewnątrzkomórkowych.

Badania nad przeznaczeniem, czynnością i pochodzeniem tych utworów prowadzone przez morfologów i fizyologów coraz bardziej wyjaśniają nam gospodarkę wewnątrzkomórkową i wzajemne stosunki komórek uspołecznionych.

Skutkiem bardzo drobnych rozmiarów badanego przedmiotu z jednej strony, a braku wypróbowanych i niezawodnych sposobów prowadzenia pomiarów i reakcyi fizyko chemicznych w dziedzinie zjawisk drobnowidzowych—z drugiej, niezawsze stwierdzić możemy stanowczo, czy obserwowany w komórce utwór stanowi jej narząd fizyologiczny, czy też jest może pobocznym produktem rozpadu lub cząsteczką martwego ciała obcego, pobranego jako pokarm.

Pod tym względem żadnej nie ulega wątpliwości, że narządami niewątpliwie fizyologicznymi komórki są jądro i plazma, czyli zaródź. Wprawdzie jedno i drugie, jako twory bardzo skomplikowane, pod wielu względami zawierają jeszcze w sobie wiele zagadek i tajemnic nierozwiązanych, niemniej dokonano wiele badań doświadczalnych, które rzuciły pewne światło na rolę ich w życiu fizyologicznem komórki. Do dziś dnia nie obalonem jeszcze zostało przypuszczenie, iż istnieją pewne istoty jednokomórkowe, złożone wyłącznie z plazmy—bez jądra.

E. Häckel organizmy te łączy w jedną grupę pod nazwą *moner* i umieszcza w systymatyce na czele pierwotniaków. Uważał on monery za takie najprostsze, jednokomórkowe organizmy, w których ciało nie zostało jeszcze morfologicznie i fizyologicznie zróżnicowanem na plazmę i jądro.

Szczegółowe badania mikroskopowe wykryły jednak w ciele niektórych moner obecność jąder i dziś istnieje przypuszczenie, że z czasem, przy udoskonaleniu środków optycznych uda się to i co do innych organizmów, dotąd uważanych za bezjądrowe.

Zresztą brak jąder daje się stwierdzić i w niektórych komórkach organizmów wyższych. Czerwone np. *krążki krwi* wielu kręgowców posiadają w swem wnętrzu jądra tylko w stanie embryonalnym (u zarodków), później, zaś, w życiu po za embryonalnem jądra te zanikają.

I tu jednak nie mamy pewności, czy jądra w czerwonych ciałkach krwi zwierząt kręgowych przestają istnieć fizyologicznie, czy też może przechodzą tylko z formy wyodrębnionego organu w postać inną, bardziej wśród plazmy rozproszoną, dla oka niedostrzegalną.

Również nierozstrzygniętą pozostaje do dnia dzisiejszego, pomimo ciągłych w tym kierunku poszukiwań, kwestya obecności jądra w bakteryach.

Pod względem budowy chemicznej istnieje wyraźna, stała rożnica pomiędzy jądrem a plazmą, i dzięki tej różnicy właśnie mamy możność drogą odpowiedniego barwienia unaocznić, wyprowadzić na jaw jądro w takich komórkach, w których bezpośrednio plazma nieznacznie lub wcale nie różni się od niego pod względem optycznym.

Co się tyczy czynności fizyologicznych plazmy i jądra — to z biegiem czasu poglądy na nie w miarę nagromadzania się nowego materyału obserwacyjnego i eksperymentalnego podlegały stopniowym zmianom.

Studya biologów dawniejszych jak Dujardin'a i Maksa Schulzego zmierzały do tego, by wykazać dominującą rolę zarodzi w życiu komórki. Jądra zaś nie dotykano wówczas wcale albo też co najwyżej przypisywano mu znaczenie podrzędne.

Do sprawy historycznego rozwoju poglądów na udział jądra i plazmy w życiu wewnętrznem komórki M. Verworn nawiązuje następującą uwagę. „Pod względem psychologicznym bardzo ciekawe i w historyi myśli ludzkiej bardzo charakterystyczne zjawiska stanowi ten, jak się okazuje, pospolity fakt, iż pochód ku prawdzie odchyla się od niej, niby wahadło to w jedną to w drugą stronę od środkowego jej (prawdy) położenia, nim się wreszcie na tem środkowem położeniu zatrzyma."

Pogląd krańcowy, któremu z czasem dowiedziono niezniszczalności, prowadzi za sobą zwrot w kierunku przeciwnym, również krańcowym i tylko stopniowe wahania to w jedną to w drugą stronę wiodą do złotego środka.

Stało się to samo i w rozwoju nauki o komórce.

Pierwotny pogląd na wyłączne znaczenie plazmy w życiu komórki w ostatnich czasach ustąpił miejsca poglądom na główny udział jądra w tej sprawie; wykryto bowiem że podczas podziału komórki oraz podczas zapłodnienia jajka najgłębsze zjawiska i zmiany zachodzą wewnątrz ciała jądrowego, gdy plazma w procesach tych zachowuje się biernie. To, co dawniej przypisywano plazmie, później przeniesionem zostało na jądro, i ostatecznie wytworzyła się reakcya tak przeciwko jednemu jak i przeciwko drugiemu, jako poglądom krańcowym. Literatura biologiczna rozporządza obecnie wielką ilością opisowych doświadczeń nad czynnością fizyologiczną jądra i plazmy.

(d. n.)

K. Kulwieć.

LITERATURA I SZTUKA

Karin Michaëlis.

Między autorkami duńskiemi wybija się na pierwszy plan Katarzyna Bech Brondum Michaëlisowa, podpisująca się Karin Michaëlis. Niektórzy fanatyczni wielbiciele jej talentu, a ma ich sporo, utrzymują nawet, że przewyższa niemal wszystkich dzisiejszych autorów całej Skandynawii. Taki sąd podyktować mógł rzeczywiście tylko fanatyzm.

Nikt nie zaprzeczy, że pani Michaëlisowa posiada wielki, prawdziwy talent, ale dorobek jej literacki, istotnie dość pokaźny, jest bardzo nierówny pod względem wartości. Jest to osoba młoda, niewiele ponad lat trzydzieści licząca, talent jej rozwija się, nie wiadomo, w jakim kierunku ten rozwój będzie się dokonywał, a od tego właśnie zależy stanowisko jej w literaturze.

Karin Michaëlis posiada nadzwyczajny dar spostrzegawczy, trafnie chwyta najcharakterystyczniejsze szczegóły danego życia i najistotniejsze cechy przedstawianych ludzi, wyraża się z niesłychaną łatwością a zarazem treściwie, zwięźle, fantazyę ma bujną nawet nadmiernie bujną. Ten nadmiar stanowi właśnie wadę jej talentu, niekiedy bowiem jej wyobraźnia przekracza granice i nasuwa jej obrazy, od których włosy się jeżą na głowie. Pani Michaëlisowa zdaje się być żądną pochwały, nieszczędzonej jej przez krytykę, że niktby nie przypuszczał, iż wiele z jej nowel wyszło z pod pióra kobiecego. Pochwała to zresztą wątpliwej wartości. Daje ona nieraz obrazy tak niesmaczne i wstrętne, że nie przyznałby się do nich autor estetycznie wykształcony, nawet niewysubtelniony pod tym względem. Ta duma autorki, że niema w niej ani cienia wrażliwości kobiecej, któraby jej kazała ominąć jakiś szczegół, najbardziej realny, lecz niepiękny a nawet częstokroć wstręt budzący, powinna iść na karb jej młodego wieku. Zarzuty te stosują się do nowel dawniejszych jak *Af Dvaergens Dagbog* (Z pamiętnika karzełka), *Kortspil* (Karty) i wogóle do przeważnej części obrazków, zawartych w zbiorkach p. t. *Fattige i Aanden* (Ubodzy w duchu) i *Hellig Enfold* (Święta naiwność). Lubowania się autorki w obraz brzydkich, w bohaterach anormalnych, którym snują się po głowie jakieś wizye potworne, to objaw chorobliwy, niezdrowy, wielkiego talentu niegodny, ale też może być uważany za należący do przeszłości.

Obecnie ukazujące się prace tej autorki dowodzą, że talent jej dojrzał, zharmonizował się, wszedłszy na właściwe jego charakterowi pole. Niezrównany zapał, z jakim pani Michaëlisowa traktuje swój przedmiot, udziela się czytelnikowi i nie dozwala mu rozkoszować się dziełem ze spokojem klasycznym, co wpływa jeszcze w pewnej mierze ujemnie na sąd o artyzmie autorki, ale z drugiej strony jest bardzo sympatycznym dowodem świeżości uczucia, które przenika jej utwory, porywając czytelników.

Już same tytuły: Ubodzy w duchu i Święta naiwność wskazują, że bohaterami ulubionymi pani M. są umysły proste, nierozwinięte, nieświadome lub dopiero do życia się budzące. W jednym z najdawniejszych zbiorków znajdował się obrazek p. t. *En lille Sjael* (Duszyczka), który już pokazywał, w czem tkwi siła talentu autorki. Jest ona bowiem niezrównaną w podchwytywaniu nieuświadomionych drgnień duszy naiwnej w podpatrywaniu najdrobniejszych zjawisk i szczegółów życia zewnętrznego oraz sposobów, w jaki taka „duszyczka" na nie reaguje.

Za chwilę przełomową w twórczem życiu Karin Michaëlis uważać można rok 1902, w którym ukazała się *Mamusia* (Lillemor) *). Ze skończonym artyzmem roztacza przed nami autorka w szeregu listów los tragiczny młodziutkiego dziewczęcia, wyrwanego z grona rodziny od najmilszego jej towarzystwa młodszych siostr dla których była dobrą, tkliwą, serdeczną „mamusią" w przeciwstawieniu do surowej, ponurej matki, nazywanej przez jedną z sióstr Ninę, po prostu „ona" lub „ta", los dziecka nieledwie rzuconego na odludzie, w dom starego, zdziwaczałego męża, dawnego wielbiciela matki. Forma tej niewielkiej powieści nie dozwoliła na jaśniejsze przedstawienie stosunków rodziców nieszczęśliwej ofiary. Z kilku słów tu i owdzie rzuconych domyślać się można, że matka ma przedstawiać w ostatnich czasach dość często do literatury wprowadzany typ żony-kochanki. Gunner Heiberg, młody poeta norwezki napisał w ostatnich tygodniach na temat nieporozumienia między małżonkami o istotę łączące-

*) Przekład polski widocznie z niemieckiego dokonany zmienił bez potrzeby bardzo odpowiedni tytuł na: *Listy Ulli Fangel.*

go ich uczucia sztukę p. t. *Tragedya miłości*, która wywołała dużo wrzawy i sporów w Skandynawii. Pani Michaëlisowa zlekka tylko zaznaczyła tego rodzaju dramat w życiu rodziców, a główną uwagę zwróciła na tragedyę nierozwiniętej, słabiuchnej, bezradnej kobiety, która wreszcie zdobywa się raz jedyny i ostatni na wyrządzenie komuś przykrości przez odebranie sobie życia, kiedy do zniesienia go już sił jej nie stało.

Wrażenie sprawia ten utwór, silny kontrastem naiwnego, prostego, dziecinnego jeszcze niemal opowiadania, snującego się w listach a wielkością samego dramatu, którego bohaterką jest właśnie pisząca. Autorka zachowała artystyczną miarę, umiała się ustrzedz wszelkiej ckliwości i patosu, które taki przedmiot wywołałby niewątpliwie u pisarza mniejszego talentu.

Podobnemi zaletami odznacza się w tym samym roku wydana także niewielka powieść p. t. *Barnet* (Dziecko). Jest to znów dzienniczek pisany przez młodą panienkę, nieuleczalnie chorą, świadomą bliskiego, nieuchronego końca. W słowach tego dziewczątka brzmi to rezygnacya, to ciekawość i chwilowa żądza życia, a przedewszystkiem chorobliwa bystrość i wrażliwość, niemal jasnowidzenie. Z nieuchwytnych dla przeciętnego oka gestów, spojrzeń, z niedomówionych słów dziecko to splata i wiąże z sobą rozmaite szczegóły i dochodzi do odkrycia tajemnicy rodziców, niekochających się, których jedynie wzgląd na dziecko powstrzymuje od zerwania węzłów małżeńskich.

Pewnym zwrotem do dawniejszych upodobań autorki jest w następnym roku wydana powieść p. t. *Sønnen* (Syn), przedstawiająca losy podrzutka, który, wzięty na wychowanie przez stare, romansowe panny, pieszczony przez nie w sposób niemożliwy, chowany bez wszelkiego planu, bez jakiegoś poważnego, rozumnego kierownictwa, wyrasta na nicponia, wyrzutka społeczeństwa, a wreszcie marnie kończy nędzny swój żywot, osierocając śmieszne, nierozumne, ale dobre i serdecznie do niego przywiązane opiekunki.

„Gyda" powieść wydana w roku minionym dowodzi, że Karin Michaëlis jest nietylko mistrzynią w malowaniu plamami, tu i owdzie rzuconemi niby bez planu, jak się to dzieje w formie listowej lub pamiętnikowej, lecz umie też używać szerokich pociągnięć pendzla i rysować kształty wyraźne. Bohaterka, Gyda, jest córką proboszcza z małego miasteczka, przeznaczoną przez matkę, która nie kochała swego męża, lecz jego brata, na żonę temuż ukochanemu. Powieść przedstawia życie młodej dziewczyny od najmłodszych jej lat do chwili zamęzcia.

Z właściwą tej autorce prawdą i subtelnością odtworzone są tu zarówno myśli dziecka, jak sny i fantastyczne, niejasne rojenia budzącej się do życia młodej duszy dziewczęcej wraz z jej nigdy niewyjawioną miłością, którą nosić będzie w sercu, żyjąc obok człowieka niekochanego.

Mamusia, *Dziecko* i *Gyda* są to utwory posiadające pierwszorzędną wartość czysto artystyczną, którą podnosi jeszcze myśl głęboka. Zarówno Gyda jak Marta z *Mamusi*, nie zaznawszy miłości, stają się zastępczyniami swoich matek, a jakkolwiek autorka nigdzie nie akcentuje tego faktu, mimowoli narzuca się czytelnikowi pytanie, jakiem prawem matki spłacają swoje długi miłości ofiarą szczęścia dzieci? Powieść *Dziecko* nasuwa znów pod uwagę czytelników zasadę, którą Ellen Key propaguje, a mianowicie, aby przy zawieraniu związków małżeńskich myśl o dziecku była decydująca—niedopuszczalne zatem winny być związki nie oparte na obopólnej miłości, gdyż dziecko do normalnego rozwoju potrzebuje niezbędnie ciepła i słońca, a gdzie w rodzinnym domu panuje chłód, przymus, dzieci bywają nieszczęśliwe, trawione przedwczesną pracą myśli i rozłamem duszy.

Jeżeli pani Michaëlisowa opanuje swoją wyobraźnię i męzkie ujęcie przedmiotu połączy z kobiecą wnikliwością i odczuciem, co leży w jej mocy, jak dowiodła wyżej wymienionymi arcydziełami niemal, stanie rzeczywiście na tej wyżynie, na której ją dziś już chcą widzieć bezkrytyczni wielbiciele.

Józefa Klemensiewiczowa.

Z dni majowych.

Ciała poległych w dniu 1 maja złożono w trupiarni szpitala Dzieciątka Jezus i w cyrkule nowo-świeckim. Niektóre były strasznie zeszpecone; na innych widać było liczne ślady broni palnej i siecznej. Większość zwłok rodziny poznały. Poznanym przypinano do ubrania kartki z nazwiskami i krótkim życiorysem. Wszystkie zwłoki odfotografowano i pochowano na Brudnie.

W dniu 3 maja prócz *Słowa* i *Dziennika dla wszystkich* nie wyszło żadne z popołudniowych pism polskich w Warszawie. Kilka fabryk w mieście i na przedmieściach oraz zakładów rzemieślniczych było nieczynnych. Świętowali robotnicy warsztatów kolejowych w Żbikowie, Warszawie i na linii kaliskiej. Wszystkie wydziały biur również.

W dniu 4 maja—jak pisze *Warsz. Dn.*—Warszawa jeszcze raz przeżyła dzień trwogi. Ulegając rozkazowi członków stronnictwa socyalno-demokratycznego, którzy postanowili uczcić w formie protestu ogólnym bezrobociem pamięć osób, które zginęły w czasie rozruchów 1 maja, fabryki, zakłady, pracownie, większość sklepów i składów, redakcye miejscowych gazet, część restauracyj i cukiernie przerwały od rana swe czynności.

Dla uniknięcia zbiegowisk i dla utrzymania porządku na ulicach chodziły i jeździły po mieście patrole wojskowe.

Ruch kołowy został prawie wstrzymany, na zarobek wyjechali dorożkarze Żydzi, utrzymywały też ruch żydowskie omnibusy i wozy. Tramwaje krążyły.

W Kaliszu — jak donosi korespondent *Warsz. Dn.* — „W dniu 1 maja, z powodu uroczystości św. Wojciecha, wyruszyła procesya kościelna na przedmieście Rypinek, gdzie odprawiono nabożeństwo. Po wyjściu z miasta, z tłumu liczącego około 4,000 ludzi, odłączyło się około 300 i zaczęło śpiewać pieśni rewolucyjne, dając przytem wystrzały w powietrze. Upomnienia policyi nie skutkowały, ani też kazanie księdza, by się wstrzymano od zakłócenia spokoju. Po nabożeństwie przy bliskiej restauracyi nastąpiło starcie demonstrantów z policyą, przyczem ci ranili dwóch szeregowców policyi i pobili żandarmów, odebrawszy niektórym broń białą i palną. Wysłany wtedy podjazd kawaleryi, złożony z 8 ludzi przyjęto kamieniami i strzałami, śpiewając wciąż pieśni rewolucyjne. Niebezpiecznie raniono szeregowca i lżej kamieniami oficera i kilku szeregowców. Oddział, broniąc się, zabił strzałami dwóch mężczyzn za ogrodzeniem kościoła i kobietę, poległą od kuli, która przebiła drewnianą ścianę kościoła. Na widok nadjeżdżających dwóch szwadronów dragonów tłum się rozproszył. Spokój w mieście do wieczora nie był zakłócony."

Zabitą w kościele kobietę chowano 4 maja przy licznym udziale duchowieństwa i bractw religijnych. Straż honorową pełniła ochotnicza straż ogniowa. Porządek panował wzorowy. Na grobie złożono mnóstwo kwiatów.

W Radomiu, według doniesienia *Gaz. Rad.*, dn. 1 maja o godz. 9 wieczorem rozległ się ogłuszający huk, poczem zgasły wszystkie światła elektryczne na ulicach miasta, pogrążając je na przeciąg kilkunastu minut w ciemnościach i szerząc postrach ogólny.

Jak się następnie okazało, wybuch nastąpił z powodu podłożenia naboju dynamitowego pod jeden ze słupów, podtrzymujących przewodniki elektryczne przy ulicy długiej, naprzeciwko szkoły handlowej.

Szczęśliwy traf zrządził, że słup wraz z podpórką, strzaskany zupełnie u podstaw i wysadzony z miejsca, oparł się o chodnik i zapobiegł połączaniu się drutów, wskutek czego mogłyby grozić stacyi poważne niebezpieczeństwo i pozbawić miasto na parę tygodni światła. Wypadku z ludźmi nie było, jedynie siła wybuchu wysadziła kilka szyb w gmachu szkoły handlowej.

O przebiegu zajść majowych w Łodzi *Warsz. Dniew.* zamieścił następującą korespondencyę:

„Zaburzenia rozpoczęły się w dniu 30-go kwietnia. W dniu 1 maja w południe z synagogi przy ul. Wolborskiej wyszedł tłum z czerwonymi sztandarami, śpiewając pieśni rewolucyjne; spotkawszy się z patrolem, złożonym z 6 kozaków na koniach i jednego stójkowego, tłum otoczywszy go, zaczął obsypywać kamieniami. Kozacy strzelili i tłum się rozproszył. Raniono osób 4. Tego samego dnia wieczorem na przechodzącego ulicą Drewnowską rewirowego T. Kurienko napadło dwóch nieznanych ludzi, raniąc go niebezpiecznie w szyję. —Sprawcy zbiegli. — Stan zdrowia K. groźny.

Na drugi dzień prawie wszystkie fabryki stanęły, magazyny i sklepy od rana były zamknięte; na ulicach panował ruch niezwykły. O godz. 11 rano stanęły tramwaje miejskie. O godz. 3-ej po południu przy ul. Wschodniej sformował się wielki tłum, który z czerwonymi sztandarami i śpiewami chciał przejść na ulicę Główną, lecz na ul. Kamiennej był wstrzymany przez wojsko. Z tłumu rozległy się strzały rewolwerowe; z dachów i balkonów sąsiednich domów obrzucono wojsko gradem kamieni.—Wojsko dało 12 wystrzałów, przyczem zabito trzy osoby, raniono zaś parę, które, nie czekając pomocy lekarskiej, śpiesznie się pochowały, z wyjątkiem Jakóba Blenda, ranionego szablą w głowę.

W tym samym czasie tłum zebrał się na placu Bałuty; manifestanci rozwinęli czerwony sztandar, śpiewali pieśni rewolucyjne i kamieniami niebezpiecznie zranili w głowę stójkowego na posterunku. Iliję Gołowka, 29 lat. Nadchodzący patrol rozpędził tłum.

Około godz. 4½ po poł. wielki tłum manifestantów zebrał się na placu Wodnego rynku; przeszedł przez ulice Juliusa, Nawrot, Widzewską i Główną, poczem powrócił na plac. Przy rozpraszaniu tłumu zabita została stojąca na balkonie żona robotnika Marya Bartosińska. Oprócz tego został bardzo pobity przez tłum Ksawery Benniak, 34 lat. O godz. 9 wieczorem przy starciu na ul. Pfeifra tłumu z patrolem raniono w ramię handlarkę, Surę Lewkowicz, 36 lat.

Dn. 3 maja, o godz. 8½ rano, do przechodzącego ul. Średnią rewirowego II cyrkułu, sześciu Żydów, stojących na rogu ul. Wschodniej, dało 15 wystrzałów, cztery kule trafiły, raniąc rewirowego niebezpiecznie w tył głowy, plecy, lewe biodro i prawą rękę. Przestępcy zbiegli. Tego samego dnia o godz. 8½ wieczorem tłum manifestantów, po wyjściu z nabożeństwa wieczornego z kościoła Św. Krzyża, (na rogu ulic Mikołajewskiej) i Przejazd) zatrzymał się na cmentarzu kościelnym i rozwinąwszy czerwone sztandary, zaczął śpiewać rewolucyjne pieśni. Kiedy stójkowy świsnął na pa-

trol ktoś z tłumu uderzył go kijem w głowę, w skutek czego stójkowy upadł. Nadjechało czterech dragonów. Z po za ogrodzenia kościoła rozległy się strzały. — Na pomoc dragonom pospieszyło wojsko, które dało trzy salwy w powietrze, poczem jedne do tłumu. Ranni; Stefan Wieczorek, lat 21, w nogi; Franciszek Salski, 38 lat, w bok; Andrzej Goralski, 52 lat, bagnetem w brzuch; Tomasz Ryszak, 28 lat, w nogę i lewe ramię, Bronisława Król, 20 lat, Maryanna Krawczyk 16 lat. Józef Kowalski, 22 lat, potratowani przez konie; Stefan Duczyński, 16 lat, raniony kulą w nogę. Z liczby rannych zmarli: F. Salski, A. Goralczyk i M. Cywowski.

W Łomży według opinii *Warsz. Dn.* dni majowe miały następujący przebieg:

„W ostatnich czasach w całem mieście krążyły pogłoski, że 1 maja wyniknąć mają znaczne rozruchy uliczne. Pogłoski te z małą demonstracyą, która odbyła się 28 kwietnia, wywarły silne wrażenie na ludność i wywołały konieczność przedsięwzięcia odpowiednich środków dla zapobieżenia mogącym wyniknąć rozruchom, a także dla uspokojenia ludności.

1 maja rano stwierdzono w różnych częściach miasta, iż na drzewach wiszą czerwone sztandary (4) z polskiemi napisami: „Niech żyje wolność“ i t. d.

O godz. 8 rano na ulicach zaczęły się zjawiać niewielkie grupy młodych ludzi, przeważnie byłych uczniów gimnazyalnych, rzemieślników i czeladników. Każdy miał czerwony krawat lub czerwoną wstążkę.— Usposobienie wszystkich było nerwowe, jednak postępowaniu młodzieży nic nie można było zarzucić. Niektórzy z manifestantów wchodzili tylko do sklepów i prosili o zamykanie ich. — Niezadługo też wszystkie sklepy były zamknięte.

Dn. 3 maja rano na krańcach miasta w miejscu, w którem w 1864 roku wykonano egzekucyę nad niektórymi powstańcami, policya znalazła krzyż z tablicą metalową, na której był napis po polsku: „poległym za ojczyznę“. Koło krzyża zbierała się młodzież. Po ukończeniu nabożeństwa rannego w kościele farnym, tłum, śpiewając pieśni rewolucyjne i wznosząc okrzyk „hura“, ruszył w stronę Nowego Placu i tu na propozycyę policyi rozszedł się.

Zaś po nabożeństwie wieczornem, odprawionem w b. klasztorze, tłum liczący 500 osób ruszył ku wspomnianemu krzyżowi, w celu uczczenia konstytucyi dn. 3 maja 1791 roku.

Spotkawszy na drodze szwadron 17 wołyńskiego pułku dragonów, demonstranci rozpoczęli rokowania z dowódcą szwadronu, żądając, by puścił ich do krzyża. Rotmistrz Szumski wezwał tłum do rozejścia się i uprzedził o niepożądanych następstwach.

Tłum zawrócił do miasta i poszedł na cmentarz katolicki, który zaraz potem został otoczony przez wojsko.

Na cmentarzu wygłaszano mowy, wznoszono okrzyki „hura“ i „niech żyje Polska“, a potem rozległy się dźwięki hymnu socyalistycznego: „Czerwony sztandar“.

Po otoczeniu cmentarza wszystkie kobiety i dzieci były niezwłocznie wypuszczone, mężczyzn zaś odprowadzono na podwórze miejscowego więzienia dla stwierdzenia osobistości manifestantów, do czego przystąpiły niezwłocznie władze sądowe i policyjne, które przybyły z gubernatorem.

Z uczestników manifestacyi tej zatrzymano do chwili określenia winy każdego tylko 82 osoby, pozostałych niezwłocznie wypuszczono.—Krzyż z napisem, z rozporządzenia gubernatora, był usunięty.

Warsz. Dn., w korespondencyi z Suwałk utrzymuje, że bieg spokojny życia tego miasta został zakłócony przez ludzi o złych zamiarach pogłoskami rozsiewanemi o przygotowujących się na dni 30 kwietnia, 1, 2 i 3 maja wybuchach, pogromach i t. d.

Dla uspokojenia ludności miejscowej i dla zapobieżenia zajść mogącym rozruchom, przedsięwzięto zawczasu wszystkie środki ostrożności.

Wszystkie 3 dni świąteczne minęły w zupełnym spokoju, na wszystkich panowało ożywienie, a porządek nigdzie nie był zakłócony.

KRONIKA

Wiadomości społeczne. Przed świętami grono ziemian z gub. Lubelskiej ofiarowało czasowemu komitetowi dla głodnych i potrzebujących pracy dwa wagony produktów spożywczych, a mianowicie kartofli, mąki pszennej, żytniej, kaszy itd.

— W Poznańskiem powstało towarzystwo „Straż,“ na którego czele stanął p. Józef Kościelski. Ma ono na celu zrzeszenie się Polaków na wszystkich polach pracy społecznej i obronę przeciw wynaradawiającemu działaniu hakatystów.

— Składki w Krakowie na ofiary wojny w Królestwie Polskiem przeszły już sumę 30,000 koron. W Poznańskiem ofiary na ten cel dosięgły już 10 tys. marek, które odesłano do Warszawy.

— Dnia 8 maja odbyło się pierwsze posiedzenie świeżo założonego Tow. opieki nad dziećmi więźniów. Towarzystwo liczy już 101 członków rzeczywistych, wnoszących 12 rb. rocznie. W jego przytułku znalazło opiekę 48 dzieci, z których obecnie pozostało 26.

— W d. 5 maja grono obywateli i przemysłowców Warszawy udało się do prezydenta miasta z przedstawieniem następującem: Ponieważ przy obecnym nastroju umysłów, wywołującym ustawiczne niepokoje, klęska ekonomiczna, dotykająca szerokie warstwy ludu, nieustannie się wzmaga, przeto deputacya prosi p. prezydenta miasta, aby zechciał dołożyć swych starań ku przywróceniu normalnego życia gospodarczego. W tym celu, aby należycie wyświetlić sprawę wypadków 1 maja delegaci prosili prezydenta o zwrócenie się do Głównego Naczelnika Kraju w kwestyi zarządzenia jak najściślejszego śledztwa. Prezydent miasta przyrzekł delegacyi swoje pośrednictwo.

— Projektowany nowy system paszportowy znosi paszporty, jako dowody tożsamości osoby. Zastąpić je mają książeczki bezterminowe, niezbędne w niektórych wypadkach, jak np. zamieszkania w Petersburgu. Temu ograniczeniu mają podlegać Żydzi. Zniesioną ma być konieczność zezwolenia męża na wydanie paszportu żonie.

— Ministeryum skarbu zawiadomiło fabrykantów warszawskich, łódzkich, sosnowieckich, i dąbrowieckich, którzy poczynili starania o dopuszczenie ich przedstawicieli do komisyi do spraw robotniczych, że ministeryum układa obecnie przepisy określające porządek powoływania do udziału w pracach komisyi przedstawicieli wszystkich okręgów przemysłowych.

— W myśl propagandy powstrzymania się od palenia i picia napojów wyskokowych, w jednej z fabryk na Powiślu 27 osób zobowiązało się do wytrwania w ciągu miesiąca, poczem każdy, kto zechce, będzie mógł wrócić do dawnego nałogu. Każdy ze związanych umową składa do puszki 10 kop. dziennie. Zebranym tą drogą funduszem rozporządzać będą ci, który wytrwają we wstrzemięźliwości przez rok cały.

— *Ag. Pet.* donosi, że proklamacya *Polskiej Partyi Socyalistycznej* wzywa do wznowienia pracy w fabrykach.

— Ukraińska partya rewolucyjna — pisze *Now. Wrem.* — wydała niedawno broszurę p. t. „Sprawa inteligencyi ukraińskiej“, w której wyłuszcza szczegółowo swój program, ujmując go w 10 przykazaniach. Pierwsze przykazanie nawołuje do utworzenia Ukrainy — republiki od Karpat do Kaukazu; drugie opiewa, że wszyscy ludzie są braćmi, lecz Rosyan nie można uważać za braci, bo to wrogowie małoruskiego narodu; trzecie wyraża zasadę: „Ukraina dla Ukrainy“; czwarte nakazuje pielęgnować mowę małoruską jako skarb narodowy; piąte zakazuje żenić się z Rosyankami itd. W ostatnim czasie — kończy *Now. Wrem.*—w „rewolucyjnej partyi ukraińskiej“ nastąpiło znowu rozdwojenie, mianowicie część jej członków przyłączyła się „na zasadach autonomii“ do rewolucyonistów rosyjskich.“

Sprawy wyznaniowe. Mieszkańcy niektórych miejscowości gub. Siedleckiej zwrócili się do duchowieństwa o wyjaśnienie kwestyi, dotyczącej dzieci jeszcze nieochrzczonych, które rodzice pragnęliby wychowywać w zasadach innego wyznania.

— Do kancelaryi oberpolicmajstra warszawskiego wpłynęło kilkanaście podań o przepisanie w księgach ludności z wyznania prawosławnego na katolickie na mocy p. 1-go Najwyższego ukazu z dnia 17 kwietnia.

Wiadomości urzędowe. W nr. 78 *Gaz. Polic.* pomieszczona jest treść rozporządzenia Najwyższego o zastosowaniu względem służby na kolejach nadwiślańskich stanu wojennego, dającego naczelnikowi tej drogi prawo do nakładania na podwładnych kar dyscyplinarnych, między innemi aresztu 7-dniowego. Władza policyjna otrzymała polecenie wykonywania rozkazów naczelnika kolei nadwiślańskich.

— Po porozumieniu się ministra spraw wewnętrznych z ministrem skarbu postanowiono d. 28 kwietnia znieść cyrkularz wydany w dniu 25 sierpnia 1897 r., zabraniający stanowczo wszelkiego rodzaju zebrań robotników. Zniesiono również cyrkularz do urzędników inspekcyi fabrycznej z dnia 21 kwietnia r. 1897 który radził inspektorom fabrycznym przedsiebrać wszystkie środki ku zachęceniu robotników do wznowienia pracy.

Hygiena i zdrowie. Według orzeczenia specyalnej komisyi, utworzonej przy radzie miejskiej dobroczynności publicznej do walki z cholerą, jest prawdopodobieństwo, że epidemia cholery przeciągnie się trzy lata, w r. b. będzie ona dość słaba, w r. 1906 znacznie ostrzejsza, a w trzecim dojdzie do punktu kulminacyjnego i wygaśnie.

Szkoły i wychowanie. W warszawskiem bezrobociu szkolnem nie brały udziału ani chedery, ani t. zw. szkoły sjonistyczne, w których wykładają język hebrajski po hebrajsku. To też podczas świąt ubiegłych odbywały się egzaminy w tych szkołach, a w jednej z nich, zwanej „Odrodzenie,“ uczniowie przedstawiali epizody dramatyczny po hebrajsku. Podobnież postanowił przystąpić do egzaminów wydział „Oświata“ przy stowarzyszeniu Pomocy bratniej, który od 3 lat opiekuje się uczniami w chederach, płacąc za nich wpisowe. Uczniów takich jest przeszło 100, a przez cały czas ich nie egzaminowano. Połowa uczęszczać będzie do chederu w okolicach Nalewek, a druga w stronach Grzybowa.

— Czterysta osób z gub. wileńskiej i kowieńskiej podało do ministeryum oświaty prośbę o uwzględnienie następujących dezyderatów: wykorzenienie policyjnego systemu i szpiegostwa w szkole; usunięcie tych nauczycieli, którzy pozwalali sobie znieważać religijne i narodowe uczucia uczniów; zabronienie władzom nauczycielskim mieszania się do życia domowego uczniów; zmniejszenie opłat; sprawiedliwe i zgodne z intencyami ofiarodawców rozdawnictwo stypendyów; większa uwaga na hygienę szkolną; pozwolenie uczniom swobodnego użycia rodzinnych języków: polskiego i litewskiego; wykład polskiego i litewskiego języka po polsku i litewsku przez nauczycieli Polaków i Litwinów; dopuszczenie Polaków i Litwinów na stanowiska nauczycieli szkół; wyrzucenie z podręczników historyi ustępów każących prawdę; wykład religii w języku uczniów; obchodzenie święta w dzień św. Kazimierza; wreszcie swobodę prywatnego nauczania języków polskiego i litewskiego i otwieranie szkół prywatnych.

— Według okólnika ministeryum oświaty, władza szkolna nie powinna żądać opłaty wpisowego od uczniów, występujących z zakładów naukowych przed upływem terminu, oznaczonego do zapłaty wpisu.

Literatura i sztuka. Niemcy w d. 9 maja obchodziły uroczyście setną rocznicę zgonu Fryderyka Schillera, wielkiego poety wolności, bojownika haseł, których dzisiejszy naród niemiecki przeważnie się wyparł.

— Polskie Tow. teatralne w Łodzi przypomina, że termin ostateczny przysłania utworów dramatycznych na ogłoszony przez to Tow. 1 konkurs dramatyczny, stosownie do warunków konkursu, upływa z dniem 1 czerwca r. b.

— W październiku r. b. ma ukazać się nowe wydawnictwo, zbiorowe, jednorocznik literacki p. t. *Praca* pod redakcyą p. Henryka Juszkiewicza, który obejmie utwory wszystkich studentów warszawskich, pracujących na polu naukowem, literackim lub artystycznym.

Poczta i telegraf. Wskutek protestu kolei rządowych główny zarząd poczt i telegrafów zmuszony był zawiesić tymczasowo ustanowioną niedawno taryfę tanią na przesyłki pocztą. Obecnie zarząd zamierza wznowić tę dogodną taryfę z niektóremi tylko zmianami i w tym celu polecił urzędom pocztowo-telegraficznym prowadzić ścisłą statystykę ilości wysyłanych posyłek na różne przestrzenie.

Odpowiedzi Redakcyi.

M. P. Wątpimy, ażeby był ktoś tak mądry i odważny, że dziś umiałby poradzić, co zrobić z uczniem we wrześniu. W każdym razie zapytany na to się nie odważy i prosi o ponowienie pytania później.

Z. R. M. „Nowelka" *Kamieniarz* jest zwyczajną, banalną ramotą.

OFIARY.

Dla głodnych w Warszawie: Marya Chamiec ze Stepanic w gub. Kijowskiej rb. 30.

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено цензурою Варшава, 27 Апрѣля 1905 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego,—Mazowiecka 8.